Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 25 zł — 8 stron | Warszawa, 30 lipca 1950 r. | Nr 18 Rok I

JERZY PUTRAMENT

SZEŚCIOLETNI PLAN PRZEBUDOWY PSYCHICZNEJ

SPOŁECZNY AWANS PEWNEGO KRAJU

Zapoznajemy się wszyscy z nowym, rozszerzonym planem sześcioletnim, studiujemy poszczególne jego rozdziały, uczymy się na pamięć cyfr, które staną się wymiarami Polski w końcu roku 1955-go. Każda z nich jest godna naszego natchnienia. Jeśli jednak trzeba w piśmie literackim dokonać wyboru najbardziej wymownej — zatrzymajmy się nad stalą.

Plan sześcioletni przewiduje wieloszczeblowy awans Polski w hierarchii państw europejskich. Z rangi Luxemburga (ludność — 300.000, powierzchnia równa się jednemu średniej wielkości naszemu powiatowi) awansować będzie nasz kraj w przyśpieszonym tempie, bijąc różne Włochy i Holandie, aż osiągnie połowę potencjału Francji i niemal połowę Niemiec Zachodnich (z całą ich Ruhrą). Jeśli weźmiemy pod uwagę, że Francja i Niemcy Zachodnie mają prawie dwa razy więcej ludności od nas, oznacza to ,że dopędzimy w tej sześciolatce przodujące kraje kapitalistycznego Zachodu Europy w decydującym wskaźniku uprzemysłowienia kraju — produkcji stali na głowę ludności.

To znaczy, że otrzymujemy materialne możliwości odrobienia wielowiekowego spóźnienia Polski wobec Zachodu. To znaczy, że otrzymujemy dosyć metalu, aby rozszerzyć naszą sieć kolejową, nabudować maszyn, lokomotyw, wagonów, samochodów, mostów, traktorów, domów o żelbetonowym kośćcu, dziecinnych wózków, saganów, noży, widelców, pługów, kombajnów, gwoździ, siekier. Ze słomianej, glinianej, drewnianej, stanie się Polska żelazobetonowa.

Polska szlachecka słynęła od wieków z wyczulonej dumy narodowej. Dziwna to była duma — tym wynioślejsza, im silniejsze cięgi— za jej słabość, za jej błędy — (co na jedno zresztą wychodzi) — dawała jej historia. Wyposili się ponad miarę szlachetkowie, gdy udało się im jakiś czas stawiać czoło silniejszemu wrogowi. Gliniany garnek — sławili siebie, gdy nie w pierwszym, ale w drugim, czy trzecim dopiero zderzeniu z garnkiem żelaznym — pękało państwo Polski szlacheckiej, czy kapitalistycznej.

Ale oto przychodzi epoka, w której duma narodowa Polaków otrzymuje zdrową podstawę. Polska Ludowa, Polska budującego się socjalizmu rysuje przed sobą realną perspektywę dopędzenia starych zbogaconych na takich właśnie Polskach, Bałkanach, czy Indochinach, krajów kapitalistycznej Europy. To, co tamci zdobywali oszustwem, wyzyskiem, gwałtem, krwią — w ciągu stuleci — my zdobędziemy własną pracą, własnym wysiłkiem, poświęceniem ofiarami, trudem — ale własnym i w ciągu lat sześciu. Możemy być dumni, nie tylko, że dorównamy tamtym, ale i że dorównamy inaczej, czysto. Nasze miliony ton żelaza nie będą splamione pylicą polskiego górnika - emigranta, czy krwią vietnamskiego kulisa.

Ale wypełnienie planu sześcioletniego, to nie tylko sprawa naszego honoru narodowego. To jest także dziejowa konieczność. Skończyła się era glinianych garnków. Tylko siła, spokojna siła Związku Radzieckiego i państw ludowych może ostudzić głowy uczniów i spadkobierców Forrestala. Musimy przebudować, rozszerzyć i wzmocnić fundamenty naszej siły, tylko wtedy wstrzymamy miecz w ręku szalonego z Waszyngtonu.

PLANY BYWAJĄ RÓŻNE

Czy możemy wykonać plan sześcioletni? Dlaczego? Retoryczne pytania.

Na Zachodzie Europy kilka tygodni temu wiele hałasowano na temat innego planu — tak zwanego planu Schumana. Był to projekt połączenia ciężkiego przemysłu Niemiec Zachodnich, Francji i okolicznych beneluksów. Ameryka przyklasnęła, zanim jeszcze Schuman skończył czytanie „swego" projektu. Adenauer akceptował go natychmiast. Bidne Włochy w myśl zasady — komu skradziono ostatniego talara, ten się złodziei nie boi — przygalopowały czym prędzej. Beneluksów też nie zabrakło.

Ale potem się wszystko jakoś pogmatwało. Dlaczego? Dlatego, że plan Schumana nie jest projektem rozbudowy i wzrostu. Owszem, celem jego jest przywrócenie przedwojennego potencjału jednemu z partnerów — Zachodnim Niemcom. Ale w tym celu zakłada on likwidację całego szeregu „nierentownych" gałęzi przemysłu zachodnio-niemieckich satelitów. Francja zaczęła już zamykać swoje kopalnie węgla w masywie centralnym, a nawet w zagłębiu północnym; Belgia musiałaby potężnie zlikwidować swoje niebylejakie (dwadzieścia parę milionów ton) wydobycie węgla. Dalszym etapem byłoby ograniczenie produkcji stali „nierentownej" — oczywiście u słabszych partnerów. Co dziwnego, że nawet sprzedajna burżuazja francuska zaczyna na to kręcić nosem.

Ta najświeższa historia jakże wymownie potwierdza dwa pewniki marksizmu: 1. W dzisiejszej epoce kapitalizm niezdolny jest do tego, by podnieść ogólny potencjał przemysłowy, rozbudować bazę ekonomiczną społeczeństwa. 2. Wzrost potencjału przemysłowego jednego z państw kapitalistycznych jest możliwy tylko kosztem ograniczenia potencjału słabszego sąsiada.

Wystarczy przypomnieć sobie te twierdzenia, aby zrozumieć, dlaczego tylko Polska Ludowa może się zdobyć na odrobienie pięćsetletniego opóźnienia naszego kraju. Po pierwsze: obalenie władzy kapitalizmu wyzwala ogromne źródła energii, pozwala na gwałtowny wzrost sił produkcyjnych, likwiduje tragiczną sprzeczność dzisiejszego kapitalizmu, od której dygocą i pokrywają się rysami najpotężniejsze państwa kapitalistyczne — sprzeczność między wspaniałym rozkwitem techniki a antagonistycznym zacofanym ustrojem społeczno - ekonomicznym. Po drugie: istnienie Związku Radzieckiego, którego potęga wyzwoliła nas z okupacji i uchroniła od wojny domowej — pozwala nam teraz uchronić się przed blokadą gospodarczą, której chętnie by spróbowali przedwojenni zachodnio-europejscy wyzyskiwacze Polski kapitalistycznej.

Porównanie planu Schumana z naszą sześciolatką obnaża kardynalną różnicę stosunków międzynarodowych w ramach dwóch wielkich obozów dzisiejszego świata.

Ameryka popiera plan Schumana, gdyż w całej Europie Zachodniej najmilej widzi swoją półkolonię — adenauerowskie Niemcy. Stalowe trusty amerykańskie tysiącznymi nićmi są związane z ruhrskim ciężkim przemysłem. Wzrost niemieckiej stali, to wzrost dochodów Ameryki. Przemysł innych „zmarshalizowanych" krajów Europy — z Anglią na czele — to konkurent. Stąd np. projekty odprzemysłowienia Francji.

Związek Radziecki jest zainteresowany nie w likwidacji przemysłu Polski, Czechosłowacji, Węgier itd., ale na odwrót, w jak najszybszym ich uprzemysłowieniu. Wzrost obrotu towarowego np. z Polską podnosi stopę życiową obydwu partnerów. Każdy sukces produkcyjny Polski jest radośnie witany w ZSRR, tak, jak dla nas zwycięstwem jest każde osiągnięcie Związku Radzieckiego. Ze świata, gdzie narody były dla siebie wilkami, przeszliśmy do świata, gdzie narody są dla siebie braćmi. I tylko oglądając się na Zachód możemy sobie uświadomić, jak daleką drogę przebyliśmy w ciągu pierwszych sześciu lat naszej trzeciej, prawdziwej niepodległości.

BUDOWAĆ ENTUZJAZM

Mamy więc obiektywne dane, by plan został wykonany. Ale mieć możność wykonania nie oznacza jeszcze wykonać.

Wykonanie planu sześcioletniego zależy od tego, jak się do niego zabierzemy. Czy utrzymamy czystość polityczną naszej linii generalnej. Czy podołamy trudnościom organizacyjnym. Czy należycie postawimy szkolenie ludzi, którzy plan ten będą wykonywać, i czy później potrafimy właściwie ich rozstawić. Czy potrafimy wykrzesać w nich entuzjazm, niezbędny do pokonania olbrzymich materialnych trudności, których w planie będzie aż nadto.

Te wszystkie problemy sprowadzają się do jednego wspólnego mianownika: człowieka. Plan sześcioletni będzie wykonany tylko wówczas, jeśli w ciągu tych sześciu lat dokona się ogromna przemiana w psychice dzisiejszych mieszkańców Polski.

Nie wyrwaliśmy jeszcze całkowicie z naszego życia gospodarczego chwastów kapitalizmu. Tym więcej jest jego przeżytków w świadomości ludzkiej. Nasza inteligencja ciągle jeszcze w lwiej części wywodzi się z mieszczaństwa, jej pojęcia o dobrym i złym, jej styl życia, jej światopogląd estetyczny — wszystko to przesiąknięte jest po dziś dzień mieszczańskim odorem. Jak wielką jest presja tej mieszczańskiej przeszłości świadczy fakt, że potrafiła ona zaciążyć na świadomości nawet takich grup inteligencji twórczej, które deklarowały swoją wierność dla marksizmu, hamując i wypaczając w ten sposób procesy dojrzewania nowej, socjalistycznej kultury polskiej.

Wieś dopiero teraz wkracza w okres decydujących przemian gospodarczych. Psychika chłopa polskiego obciążona zacofaniem kulturalnym wsi przedwojennej, ciemnotą kościelną, mętniactwem agrarystów jest olbrzymim polem walki, której początki dopiero się zarysowały. Ale i przodująca nasza klasa, klasa robotnicza ma do przebycia nielada drogę. I ona musi dopiero wychować świeże siły, które do niej w czasie wojny i po wojnie napłynęły i ona musi wyrwać pozostałości kapitalistycznej demoralizacji i socjaldemokratyzmu.

Oczywiście — wielki proces budowy podstaw socjalizmu sam przez się jest szkołą świadomości ludzkiej. Oczywiście, już przez sześć lat ubiegłych dokonały się ogromne przesunięcia w psychice naszego narodu. Ale dopiero świadoma, planowa akcja ideowo - wychowawcza może i powinna te procesy przyśpieszyć i podnieść jakościowo.

TRZY GŁÓWNE SZLAKI

Decydującym odcinkiem tej ofensywy kulturalnej jest literatura. Ze wszystkich form twórczości artystycznej jest ona najsilniej przesycona ideologią. Jej wpływ wychowawczy na świadomość ludzką jest najgłębszy, najwszechstronniejszy, najbardziej bezpośredni, najtrwalszy. Jej zasięg jest obok filmu najbardziej masowy. Ale film, przy całej jego specyfice, czyniącej z niego niesłychanie potężne narzędzie wychowawcze — jest właściwie odmianą literatury, dalszą od niej niż teatr, ale spokrewnioną wyraźnie. Bez mocnej i zdrowej literatury można stworzyć efektowne przedstawienia teatralne, czy filmy, będą one jednak na pewno jałowe tematycznie. Mobilizując ideowo literaturę — mobilizujemy zarazem i teatr i film. Jeśli te dwa działy mimo to nawalą, będzie to sprawa wtórna, organizacyjna.

Jakie zadania stawia przed literaturą okres planu sześcioletniego?

Przede wszystkim są to zadania związane bezpośrednio z wykonaniem planu.

Wielkie Budowy — Nowa Huta, Kanał Wschód — Zachód, nowe obiekty przemysłowe na Śląsku, powstawanie nowych okręgów przemysłowych — nawet w literaturze burżuazyjnej stanowią tematy kuszące, dajmy na to, zderzeniami psychologicznymi przy wyrastaniu nowych środowisk miejskich na starym, zacofanym podłożu chłopskim. W naszych warunkach nie egzotyka, nie psychologiczne ciekawostki, rzecz jasna, nadają wagę tej kategorii tematów, chociaż i one mogą stanowić cenny element tworzywa.

Tematyka budownictwa socjalistycznego jest dla nas najważniejsza, ponieważ wiemy, że wykonanie planu jest kwestią życia naszego narodu i twierdzimy, że rola literatury w wykonaniu planu jest ogromna. Podejmując tę tematykę, pisarz, czysty ideowo, posiadający talent, uczciwie traktujący swój zawód, może swoim jednym dziełem dopomóc tysiącom kierowników i inżynierów, setkom tysięcy robotników zrozumieć swoje słabości, wyzdrowieć ze zwątpień i załamań psychicznych, nieodłącznych od trudności materialnych, ujrzeć ogrom zadań, które przed nimi stoją. Tematyka budownictwa socjalistycznego daje twórcy takie możliwości „rządu dusz", o których marzyli nasi wieszczowie.

Przebudowa wsi — oto druga kategoria tematów, niemniej ważna od pierwszej, niemniej pociągająca bogactwem swoich problemów i wątków. Zdemaskowanie do reszty wielkiego mitu o wsi, jako takiej, wsi jednolitej klasowo i solidarnej, ukazanie czasem zaledwie tlejącej, ale zawsze bezlitosnej walki klasowej, przedstawienie zwierzęcego oblicza wsiowego kapitalizmu, — i obok tego wydobycie jeszcze może pędów zaledwie nowej wsi, budującej socjalizm, wydobycie bohaterstwa nowatorów wiejskich, zobrazowanie sojuszu robotniczo-chłopskiego — oto zadania, których artykułowy schematyzm nie może przecież zasłonić ich niezliczonych artystycznych możliwości.

Jaką rolę w socjalistycznej przebudowie wsi w ZSRR odegrał „Zorany Ugór" nie trzeba chyba tłumaczyć. Dzieło tej miary oszczędziłoby narodowi naszemu ile trudu, ilu kosztów, ilu — być może — istnień ludzkich.

Oba te wielkie działy tematyczne łączy i poza nie wybiega obszerniejszy problem, może kluczowy w całym dziele przebudowy psychicznej Polski w okresie planu sześcioletniego. *Jest to problem nowego stosunku do pracy.*

Ze wszystkich różnic psychologicznych między poprzednimi typami społeczeństw a tym, które na naszych oczach w Polsce powstaje — ta chyba jest najwyraźniejsza i najgłębsza. [illegible] pracę pojęła jako przekleństwo, niechęć wobec boskich nakazów. W społeczeństwie niewolniczym ta miała swoje uzasadnienie: kara za słabość, za tchórzostwo, za ubóstwo. Feodalizm zachował z tego pogardę dla pracy, jako zajęcia niegodnego dobrze urodzonych mężczyzn. Kapitalizm może na początku pracę zrehabilitował, ale i to jako środek, nie cel. Mit o amerykańskim milionerze, który zaczynał jako pucybut, jest typowy: pracuje się, aby zbić kapitał i innych zmusić do pracy.

Socjalizm zmienia najradykalniej tę stronę duszy ludzkiej: praca u nas staje się „sprawą honoru, sprawą odwagi i bohaterstwa". Oczywiście nie znaczy to, że ideałem naszym jest społeczeństwo robotów. Na odwrót, cała siła socjalizmu polega na masowej świadomości celów pracy i jej sensu. Zamiast zaszczytów „urodzenia", zamiast zaszczytów majątku, jest już u nas zaszczytny tytuł „Budowniczego Polski Ludowej", jest rodząca się gwardia przodowników pracy, kawalerów „Sztandaru Pracy". Te tytuły i ordery są tylko symbolami przełomu, który już się zaczął, którego *pogłębienie i dokończenie jest niezbędnym warunkiem wykonania planu.*

Ogólnik powyższy nader łatwo daje się matematycznie ściśle udowodnić. Aby wykonać plan przy obecnej wydajności pracy naszego robotnika musielibyśmy armię pracy powiększyć o ileś tam setek tysięcy dusz. Dla obsłużenia tych setek tysięcy musielibyśmy dodatkowo w ciągu sześciu lat nabudować mieszkań wielkości paru Krakowów, czy kilku Częstochów. Musielibyśmy zużyć na to dodatkowe miliony ton cementu, setki tysięcy ton żelaznej aparatury, tysiące kilometrów rur wodociągowych i kanalizacyjnych itd. itd. Musielibyśmy dodatkowo rzucić do miast miliony ton zboża, mięsa i tłuszczu. A poza tym musielibyśmy na to wyskrobać skądciś grube setki miliardów złotych. A jeszcze do tego musielibyśmy te setki tysięcy ludzi znaleźć. Przy tak znacznym powiększeniu armii pracujących zarobkowo jak to przewiduje plan, należy wątpić, czy wieś nasza potrafiłaby te tłumy ludzkie z siebie wyrzucić.

Tak więc jedynym rozwiązaniem tego splotu niemożliwości jest zaprojektowany w planie wzrost wydajności pracy robotnika polskiego. Tylko biurokrata może wierzyć, że ustawy same w sobie mogą ten wzrost zapewnić. *Jedynie przy jednoczesnej, nieustannej akcji polityczno-wychowawczej,* która wyjaśni robotnikowi i chłopu wyższą rację jego wysiłku, wpoi w masy najbardziej zacofane przeświadczenie o tym, że praca, że dobra praca jest najbardziej zaszczytną sprawą naszej epoki.

Plan trzyletni przyniósł już początek tego przełomu. Dalsze jego pogłębienie jest palącą potrzebą chwili. Rola literatury w tym problemie jest zgoła pierwszoplanowa. Jeśli artykuł gazetowy, fotografia, reportaż z konkretnego obiektu, popularyzując konkretnych przodowników pracy i konkretne zespoły są środkami skutecznymi, ale doraźnymi — to tylko utwór artystyczny, wiersz, nowela, dramat czy powieść mogą utrwalić, pogłębić i rozszerzyć na całą Polskę nieprzemijające, ważne dla wszystkich,

NAGRODY LITERACKIE M. WARSZAWY

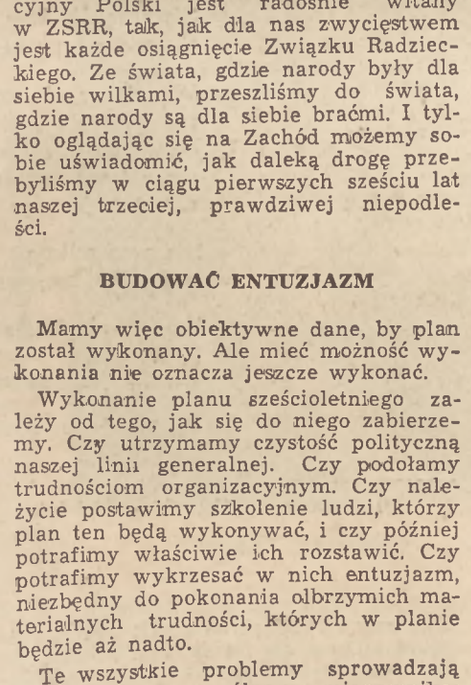

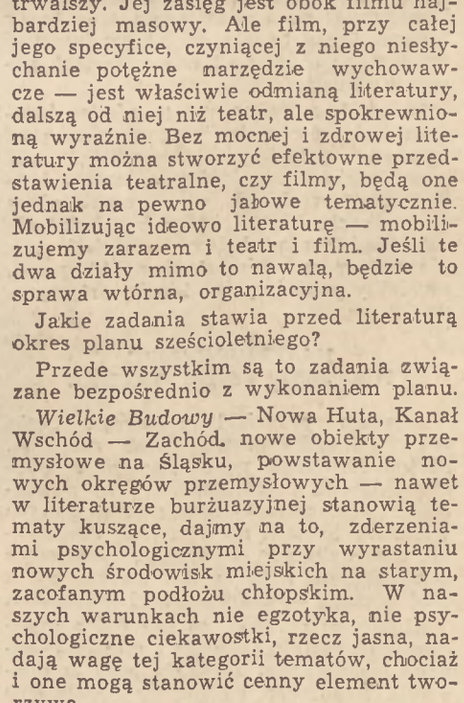

Nagrody Literackie miasta Warszawy otrzymali w roku bieżącym: Lucyna Krzemieniecka za twórczość dla dzieci, oraz Stanisław Ryszard Dobrowolski za całokształt twórczości poetyckiej, licznymi utworami związanej w sposób szczególny z tematami stolicy.

Z DRUGIEJ OGÓLNOPOLSKIEJ WYSTAWY PORTRETÓW PRZODOWNIKÓW PRACY i RACJONALIZATORÓW

Bolesław Kwiecień, przodownik pracy PPB, wyrabia 340% normy, rzeźba Zbigniewa Dunajewskiego

Zdzisław Skórzyński, brygadzista brygady młodzieżowej ZMP, wyrabia 190% normy, obraz Janusza Wildena

Józef Buczyłowski, przodownik pracy kopalni „Wujek", rzeźba Stanisława Marcinowa

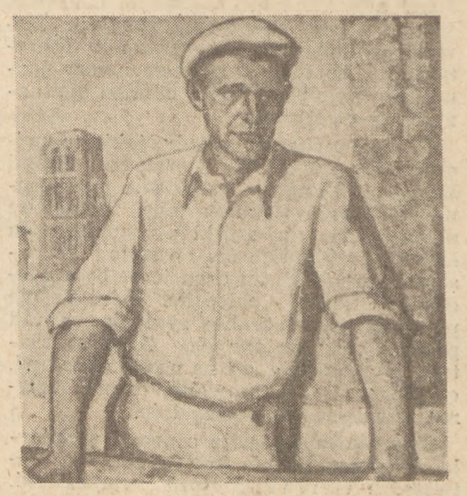

Stanisław Wyszkowski, przodownik pracy, murarz, obraz J. Dorant-Dzianotowa

Józef Czajka, przodownik pracy, murarz na budowie Instytutu Techniki Budowlanej, rzeźba Henryka Tarkowskiego

Foto API

typowe, cechy przełomu w stosunku do pracy.

Problem ten najbardziej bezpośrednio wiąże literaturę ze sprawą wykonania planu.

...I BARDZO DUŻO INNYCH

Rzecz prosta, epoka planu sześcioletniego nie wyskakuje w naszej historii ni stąd ni zowąd. Po Manifeście Lipcowym, który był pierwszym (zrealizowanym!) planem w Polsce od Mieszka I-go, przyszedł plan trzyletni. Po planie sześcioletnim przyjdą inne. Tematyka literacka, aktualna w pierwszych latach powojennych nie traci swej aktualności i dzisiaj, choć inne być może, wyższe i głębsze będą nasze wobec niej wymagania. Historia — dalsza i nowsza — Polski, aż po wrzesień, okupację i czasy powojenne — oto np. tor tematyczny, który nie powinien świecić pustkami. Po dziś dzień nie zdobyła się nasza literatura na wielki, epicki obraz września. Z perspektywy dziesięciu lat możemy łatwiej niż dotąd ujrzeć cały tragizm owego zakrętu historycznego i jego głęboki sens. Nie powinny się zatrzeć w naszej świadomości lubelskie i lewobrzeżne początki Polski Ludowej.

Dalsza przeszłość prosi się również o nowe spojrzenie artysty, wzbogaconego doświadczeniem dwóch wielkich wojen i największego przełomu w dziejach naszego kraju. Robotniczo - chłopskie państwo inaczej niż szlacheccy pogrobowcy patrzy na tysiąc lat swojej przeszłości. Literatura nie musi w tej sprawie czekać, aż historycy podpowiedzą jej co ma sądzić o tym, czy owym królu, hetmanie, uczonym, o tej czy owej bitwie, klęsce, powstaniu. W błędzie byłby jednak ten, kto by chciał wybierać odległe epoki ze względu na ich „łatwość" polityczną. Czytelnik nasz od historycznej powieści wymaga nie tylko fabularnej ciekawości, nie tylko językowej, obyczajowej czy psychologicznej egzotyki, ale także i przede wszystkim głębszej prawdy historycznej.

A poza tym, poza budowami sześciolatki, poza wsią, poza pracą, poza historią — czy nic więcej pisarzowi, dramaturgowi, poecie nie zostało? Tylko głupiec mógłby tak mówić, tylko wróg mógłby nas o to oskarżać. Jeszcze raz więc podkreślamy: wszystko, co interesowało literaturę dotąd, interesuje ją i nadal. Próbowałem wyliczyć tylko parę *najważniejszych* dzisiaj kategorii tematycznych, nie pretendując bynajmniej do ich wyczerpania.

DROGOWSKAZY I KRÓLIKI DOŚWIADCZALNE

Czy nasza literatura jest dzisiaj zdolna skutecznie się porwać do tych zadań?

Od zjazdu szczecińskiego po warszawski trwał u nas okres kiełkowania realizmu socjalistycznego, jako dominującej postawy literata wobec swego zawodu. Niełatwy był to okres i niebardzo płodny. Nie chodzi bynajmniej o to, że zbyt mało dzieł się ukazało, wcielających w życie szczecińskie rezolucje: półtora roku, to nie tak dużo w literaturze. Gorzej, że procesu przyswajania nowej postawy nie poprzedziło uświadomienie sobie wszystkich przyczyn, które zwrot obecny hamowały. Jeśli nawet błędne koncepcje odrzucano — to działo się to po cichu, bez szerokiej dyskusji, bez wyjaśnienia zarówno nosicielom fałszywych tendencyj, jak i tym, którzy tendencjom takim ulegali, na czym szkodliwość ich stanowiska polega.

Takie przemilczanie własnych słabości nikomu na zdrowie nie wyszło. Główni aktorzy dramatu nie zawsze wiedzą, za co się ich atakuje. Ich przeciwnikom wydaje się, że choroba trwa. Jedni i drudzy w takiej atmosferze nie potrafili wydobyć z siebie wszystkich swych twórczych możliwości.

Słabość — polityczna i literacka — naszej krytyki przyczyniła się walnie do opóźnienia zwycięstwa realizmu socjalistycznego. Obok nieumiejętnej taktyki personalnej, braku systematycznego szkolenia i podziwu godnej opieszałości w wysuwaniu młodzieży — część naszej krytyki popełniła klasyczny błąd pierwszych lat powojennych: zatraciła perspektywę rozwojową Polski roku 1945 i pod naciskiem ideologicznym burżuazji zaczęła głosić dziwaczny program literacki, podając jako marksizm w literaturze to, co było w gruncie rzeczy jedną (nie najciekawszą) z odmian burżuazyjnego estetyzmu.

Trudno przecenić szkody, jakie to zwichnięcie poczyniło w literaturze Polski Ludowej. Pierwsze pokolenie powojenne startowało wskutek tego, obciążone złymi tradycjami sztuki poetyckiej, tym łatwiej przyjmując ów pseudo „marksizm", im bliższa im uczuciowo była władza robotniczo - chłopska. Jednocześnie powstała paradoksalna sytuacja wśród pisarzy przedwojennych. Zamiast ułatwić im zbliżanie się do nowej ideologii, odtrącano ich, atakowano, czasem równie zawzięcie jak bezmyślnie.

Styczniowa dyskusja o poezji wykazała, że sprawa ta nie jest rozwiązana. Potwierdza to również zjazd warszawski. Należy uznać, że *najpierwszym zadaniem ideologicznym, które przed nami stoi, jest zanalizowanie burżuazyjnego estetyzmu w naszej krytyce.*

Wiąże się z powyższym zadanie drugie: musimy głębiej i konkretniej przedstawić sami sobie, jakie są praktyczne wymogi realizmu socjalistycznego. Dotychczasowe, liczne przemówienia na ten temat, słuszne politycznie, grzeszyły często ogólnikowością, gdy tylko mówca dochodził do praktycznych, konkretnych wskazań — jak nowy utwór ma wyglądać. Nasza wiedza o realizmie socjalistycznym jest jeszcze ciągle zbyt abstrakcyjna.

Wielką pomocą dla nas będą tutaj pierwsze płody szczecińskiego zjazdu, które się już zaczęły ukazywać. Ale musimy dopilnować naszej krytyki, by się nie stoczyła do taniego urzędowego entuzjazmu, by, pojmując słusznie całą wagę tych pierwszych jaskółek, nie zrozumiała tego, jako obowiązku przemilczania ich słabości, których jest i musi być niemało.

Powiedzmy sobie wyraźnie: pierwociny realizmu socjalistycznego mają dla nas sens podwójny: po pierwsze, są one widomym zjawiskiem dokonanego przełomu, mają symboliczne niejako, deklaratywne znaczenie, są drogowskazami: tędy iść można.

Ale, po drugie, są one dla nas także królikami doświadczalnymi, na których musimy się uczyć anatomii i fizjologii kierunku uznanego przez nas za słuszny i jedynie możliwy. Krytyka, pieją ogólnikowe pochwały, może łatwo wypaczyć pojęcia pisarzy o tym kierunku. Widząc, że się chwali w czambuł dzieło, którego słabizny są aż nadto widoczne, uczciwi powiedzą sobie: zanadto łatwa ta droga, prowadzi w dół. Niech się pusty po niej stacza. Bardziej cyniczni powiedzą sobie: aha, piejecie z zachwytu nad czymś, co pisano na kolanie? Bardzo proszę, kolan mi nie brak.

Pierwociny realizmu socjalistycznego tylko wtedy odegrają swoją historyczną rolę, jeśli krytyka, podnosząc słuszność obranej drogi, z całą życzliwością kwitując osiągnięcia — będzie nieugięcie analizować słabości danego utworu i żądać z nich wyrastania.

UCZMY SIĘ U STARSZYCH KOLEGÓW

Oczywiście, nie powinniśmy poprzestać na analizie własnych pierwocin. Bliższe zapoznanie się z wielką literaturą radziecką, z jej rozwojem nie pozbawionym przecież załamań i zakrętów, często bardzo do naszych podobnych, nauczy nas pokonywania trudności, nieodłącznych od naszego, tak wczesnego stadium rozwojowego. Rappowcy i formaliści, ostatnio — burżuazyjni kosmopolici — za mało o nich wiemy, choć byli oni wytworami (czy odpadkami) pewnego procesu rozwojowego, który dziś w skrócie powtarzamy. Poznanie tych schorzeń, poznanie dzisiejszego stanu literatury radzieckiej ułatwi nam kroczenie po naszej drodze.

Za mało również wiemy o zjawiskach literackich bratnich krajów demokracji ludowej — choć ich waga dla nas jest ogromna, zbieżności — uderzające. Węgierska dyskusja z Lukacsem musi być dla nas niezbędnym składnikiem dyskusji nad burżuazyjnym estetyzmem, wdzierającym się aż do wnętrza partii robotniczych.

Te trzy źródła: literatura radziecka, literatura demokracji ludowych i poszczecińskie pierwociny winny stać się dla nas podwalinami pogłębienia naszej wiedzy o realizmie socjalistycznym, drugiego niezbędnego warunku naszego dozbrojenia ideowego.

Dozbroiwszy się ideowo - literacko i politycznie — po wybrnięciu z kłopotów organizacyjnych możemy liczyć, że literatura nasza spełni nadzieje na niej pokładane.

Albowiem nie jest prawdą, jakoby brakło nam ludzi, jakoby nie było u nas talentów. Posiadamy doskonałą ekipę starszego i średniego pokolenia, o wielkim doświadczeniu twórczym, smaku, umiejętnościach. Przebywają oni razem z nami ewolucję ideową i jeśli nie zawsze widać ją w ich dziełach — wina częściej leży po stronie krytyki, która albo pojmowała [illegible]możliwość jako przemilczanie błę[illegible]bo, gdy próbowała być wymagają[illegible]rażała suchą, doktrynerską (i to nie zawsze wywodzącą się ze słusznej doktryny) surowością.

Co najważniejsza, mamy doskonałą młodzież literacką — i tę, która już wystartowała, i tę, co klęka właśnie na starcie. Nie brak jej wielkich słabości. Przeszła ona przez straszliwą pięcioletnią próżnię okupacyjną w najdelikatniejszym okresie dojrzewania. Źle ją uczono, źle ją przyjęto zaraz po wojnie. Zapomniano, że najlepszą metodą szkolenia młodych literatów jest traktowanie ich tak samo, jak dorosłych, równie życzliwie, równie wymagająco, bez wyniosłości, bez schlebiania. Zapomniano również, że szkolenie jest procesem obustronnym. A od naszej młodzieży, niejeden ze „średniaków" mógłby się niejednego nauczyć. Nie tylko ich zapału ideowego, ale i rzeczy bardziej konkretnych.

CIĘŻAR NOWYCH ODPOWIEDZIALNOŚCI

Piszemy i mówimy, że podstawową cechą naszej rewolucji kulturalnej jest radykalny skok ilościowy zasięgu literatury. Zamiast paru procent odbiorców literatury w Polsce przedwojennej, mamy ich teraz kilkanaście, będziemy mieli kilkadziesiąt. Eliminacja obszarników i burżuazji powoduje oczywiście i jakościowe zmiany. Czy rozumiemy dobrze, jakie konsekwencje to pociąga dla nas, jako literatów, dla naszej sztuki pisarskiej?

Literat w dzisiejszym państwie kapitalistycznym jest czytany przez wąziutką warstwę ludzi, których stać było na przejście przez szkoły średnie, czasem i wyższe, którzy zapoznali się choćby pobieżnie z pewną ilością dzieł literackich, których styl życia wreszcie — syty i konsumpcyjny — usposabia do traktowania literatury jako zmysłowej, rzadziej umysłowej, ale rozrywki. Nie spodziewają się oni po dziele sztuki żadnych moralnych nastawień, żadnej pomocy. Nie szukają w nim ani zachęty dla własnych cnót, ani potępienia dla grzechów. Są uodpornieni na budujące utwory, ale też, częściowo, na utwory demoralizujące. Olbrzymi wzrost literatury kryminalnej, gangsterskiej, pornograficznej może i przyczynił się do pewnego wzrostu przestępstw wśród młodocianych, ale to ostatnie jest nieproporcjonalnie niskie w stosunku do nieprawdopodobnych ilości tej makulatury, która ostatnio ukazuje się na Zachodzie.

Sto i sto pięćdziesiąt lat temu czego innego po literaturze spodziewała się burżuazja. Młoda klasa czegoś od życia oczekuje, o coś chce walczyć. Szuka ona sprzymierzeńców i broni wszędzie, gdzie się da. Jeśli spróbujemy zabawić się w wykresy historyczne, ujrzymy, że początki każdego nowego ustroju społecznego zbiegają się ze wzrostem wychowawczej, normatywnej roli literatury i na odwrót, formalizm i relatywizm moralny nieodłącznie towarzyszą starości danej klasy. Nie przypadkowo młode państewka niewolnicze Grecji wydały Hezjoda i Ajschylosa, Katullus zaś i Petroniusz zrodzili się w schyłkowym, cesarskim Rzymie.

Inna jest odpowiedzialność moralna pisarza, którego dzieło w kilkuset, lub kilku tysiącach egzemplarzy nakładu trafia do rąk obojętnego inteligenta czy mieszczucha o zrogowaciałej percepcji — inna tego, który dziesiątki i setki tysięcy swego utworu rzuca ludziom, dla których to jest może pierwsza, może dziesiąta książka w życiu. Zwłaszcza że to głównie jest młodzież, o żarliwym, wymagającym i czułym zarazem na wszystko, co poznaje, umyśle

Jeśli ktoś nie zrozumiał, jakim wielkim zaszczytem dla pisarza jest ta zmiana klienteli, niech przynajmniej przyzna, że inne są zasady i inna odpowiedzialność w dowodzeniu ołowianymi żołnierzykami, inna w dowodzeniu armią żywych ludzi. Jeśli kto nie zrozumiał, że sztuka przekształcająca setki tysięcy ludzi jest *artystycznie* wyższa od tej, która trafia do garstek i nikogo nie podnosi — niech się nie dziwi, gdy napotka na żywy, gwałtowny opór armii, którą dowodzić nie jest godny.

Mało jest miejsca u nas (i będzie coraz mniej) dla sztuki indyferentnej moralnie. Ten, co wierzy i walczy o sprawę najważniejszą, o życie, o ludzkość — ma prawo wiedzieć z kim w utworze ma do czynienia — z wrogiem, czy ze sprzymierzeńcem *).

KRYZYS KONFLIKTU

Sprawa normatywności literatury realizmu socjalistycznego wiąże się z zagadnieniem optymizmu. Niejeden z naszych dojrzałych literatów, którego całe doświadczenie artystyczne przypadło na okres międzywojennego niżu literatury mieszczańskiej, nie może dziś wybrnąć z wątpliwości, wyrósł on w przeświadczeniu, że wielka sztuka powinna unikać zarówno klasyfikacji moralnej swoich postaci, jak i ogólnego, radosnego wydźwięku.

Typowe złudzenie, wynikłe ze zmiany epoki. W ogóle z epokami historycznymi jest niełatwo. Człowiek łatwiej spostrzega zmianę garnituru przyjaciela, niż zmianę epoki. W literaturze mieszczańskiej optymizm był oczywistym fałszem, nic dziwnego, że czuły artysta uczuciowo nawet przywiązany do społeczeństwa mieszczańskiego fałsz ten wyczuwał.

Natomiast jest błędem uogólniać to doświadczenie i przenosić je na literaturę w ogóle. W ustroju, który u nas się rodzi, znika sprzeczność między społeczeństwem a jednostką. Sfera konfliktów się zacieśnia do walki między przeżytkami starego a pędami nowego. Konflikty te *muszą* skończyć się zwycięstwem nowego. Bohater pozytywny w naszych warunkach zawsze zwycięży, choćby przypłacił to swoją śmiercią fizyczną.

W naszych warunkach, w państwie robotniczo - chłopskim fałszem *artystycznym* byłby konflikt między pozytywną jednostką a obojętną, ślepą np. machiną państwową czy społeczną, tak typowy dla krytycznego realizmu mieszczańskiego.

Ten aksjomat stawia przed literatami konieczność rewizji ich technicznych, kompozycyjnych przyzwyczajeń, inaczej grozi im bowiem rozdźwięk z czytelnikiem, który może prędzej niż oni wyczuł i zrozumiał sens odwrócenia się karty historii i nie będzie chciał przyjmować fałszywego układu sił w konfliktach nowej literatury.

Oczywiście, fałszem i to niebezpiecznym byłoby również ukazywanie zbyt łatwego zwycięstwa przyszłości nad przeszłością. Przeszłość jest jeszcze bardzo silna, przebiegła, nie przebierająca w środkach. Pisarz, który by chciał się załatwiać z nią jednym machnięciem pióra — poza szkodami politycznymi, musiałby ponieść pełną klęskę artystyczną.

NAJTRUDNIEJSZE NIE JEST TAKIE TRUDNE

Formuła przysięgi sądowej... „całą prawdę i tylko prawdę" jest niepełna. Można formalnie jej dotrzymać, a przecież skłamać. Człowiek, który by powiedział: „Warszawa — to miasto w którym wiele się buduje, ale domy są obdrapane, całe dzielnice, to ruiny, powietrze przesiąknięte kurzem itd. jeszcze przez pięć wierszy — człowiek taki skłamałby.

Albowiem prawda, to nie tylko wyliczenie wszystkich plusów i minusów danego zagadnienia. To także sprawa proporcji. Brodawka na twarzy cenionego literata jest prawdą, gdy się o niej wspomina mimochodem, jest kłamstwem, gdy przesłania jego talent. Stawiając sobie za naczelne zadanie — przekazanie jak najwierniejsze naszej epoki, musimy pamiętać o tej zasadzie. Realizm w przeciwieństwie do naturalizmu — to wybór. Wybór najważniejszych elementów życia, w hierarchii ich ważności i w przyczynowym ich powiązaniu.

I także w ich dynamice. Rozstawiając w utworze siły działające nie powinniśmy ulec czysto ilościowej inercji. Cóż z tego, jeśli w maju przeciwnicy spółdzielni produkcyjnej w N. liczą dziewięć dziesiątych mieszkańców? W październiku ta jedna dziesiąta potrafi poprowadzić za sobą większość wsi. Nie poniżając jej zwycięstwa przedstawianiem jej wrogów jako głupców i słabeuszy, winniśmy zachować od początku taką grę światłocieni, by wielkość nowatorów wypadła przekonywująco.

Dochodzimy tu do najważniejszego i najtrudniejszego problemu realizmu socjalistycznego. Co zrobić z pozytywnym bohaterem?, jak go tworzyć?

Wydaje mi się, że sprawa ta jest u nas może łatwiejsza, niż w ZSRR. Bohater pozytywny, twórca naszego społeczeństwa — sam dopiero wyrasta. W okresie, który odpowiada naszemu — w ZSRR problem realizmu socjalistycznego jeszcze nie dojrzał. Formaliści negowali konieczność świadomej walki o pozytywnego bohatera, rappowcy przez swoje wulgaryzatorstwo utrudniali walkę z formalizmem. Gdy realizm socjalistyczny zwyciężył — ZSRR liczyło już sobie kilkanaście lat żywota. Pozytywni bohaterowie byli już skończonymi charakterami, trudno było artystom dać ich dynamiczny obraz.

U nas sprawa ma się inaczej. Doświadczenie ZSRR pozwoliło nam przyśpieszyć proces dojrzewania nowej literatury. Nasz bohater pozytywny, nasz budowniczy Polski socjalistycznej dopiero się hartuje. Artysta może go złapać w procesie jego powstawania, ukazać w całym dramatyzmie walkę elementów starej psychiki z nowymi i dzięki temu łatwiej uporać się z trudnościami, jakie pozytywny bohater zawsze sprawia.

Innymi słowy, problem powinien się u nas nazywać: *jak powstaje pozytywny bohater.*

PRZYMUS WOLNOŚCI TWÓRCZEJ

Tyle razy użyłem w powyższym, szkicowym artykule słów i trybów rozkazujących, że nieuczciwi mogliby z tego ukuwać teoryjki o administrowaniu literaturą. Byłoby to głęboko niesłuszne i poza tym niemądre.

Często jeszcze u nas nie rozumie się, że wolność twórcza, istniejąca w państwach schyłkowej burżuazji sprowadza się w gruncie rzeczy do wolności przemawiania w próżni. Pisarz w takim państwie, aby żyć z pióra, musi ugiąć się pod nader szorstkim przymusem giełdy wydawniczej, która nie tylko odrzuca ideologicznie wrogą jej twórczość, ale i zmusza do zaspakajania określonych gustów określonej klasowo klienteli. Nie trzeba być świadomym marksistą, wystarczy szanować piękny zawód pisarza, aby ujrzeć całą degradację tego zawodu w takich warunkach.

Ustrój nasz przywraca pisarzowi godność zawodową, świadomie czyni z niego czołowy oddział twórczej inteligencji, otacza go szacunkiem i troską. Ustrój nasz daje mu pełną wolność twórczą współuczestniczenia w powstawaniu nowego społeczeństwa. *Żadne nakazy administracyjne, żadne przymusy nie pomogą w powstaniu nowej literatury, dopóki twórca sam, z własnej woli, nie zrozumie i nie uzna swoich celów twórczych, nie zobaczy wielkich możliwości tworzenia piękna, które mu one dają.*

Nieszczere bowiem, płytkie, koniunkturalne przyjęcie zasad realizmu socjalistycznego zawsze się odbije na dziele literackim taką czy owaką słabością artystyczną, fałszem moralnym czy politycznym.

Artykuł powyższy próbował tylko wskazać niektóre konsekwencje, płynące z przyjęcia założeń ideowych realizmu socjalistycznego w związku z przełomową ustawą o sześcioletnim planie. Nie pretenduje on ani do wyczerpania zagadnienia, ani do tego, że sformułowania w nim użyte są niewzruszone. Artyści, to dziwne istoty. Czasem wystarczy sformułować jakieś apodyktyczne zalecenia, by zabrali się oni do wykazania w praktyce, w dziele artystycznym, że właśnie wbrew takim zaleceniom można dopiero stworzyć arcydzieło. Obalenie takim kosztem któregoś z powyższych sformułowań uważałbym za wielki dla siebie zaszczyt.

Jedno tylko wydaje mi się niewzruszone: tak, jak kraj nasz, w trudzie i poświęceniu wykonując plan sześcioletni, wyrośnie moralnie i materialnie, tak i nasza literatura, tylko włączywszy się czynnie w pracę nad wykonaniem planu, poprzez swój wysiłek, poprzez swoje błędy i załamania ma szansę wyrośnięcia ponad przeciętność. Albowiem nie błędy są najgorsze, z błędów się wyrasta. Najgorsze jest co innego. Ustrój nasz zmienia nie tylko ziemię i ludzi, zmienia także przysłowia. U nas właśnie kto śpi, ten grzeszy.

Jerzy Putrament

*) Na miłość boską: nie znaczy to, że czarne charaktery mają nosić od pierwszej strony czarne garnitury, białe zaś chodzić z leliją za uchem.

TADEUSZ RÓŻEWICZ

GWIAZDA BUDAPESZTU

Noc Widzę gwiazdy tak czyste
jakby ktoś narysował diamentem na szybie

Utwierdzone na firmamencie
przez robotników
płyną jak krew czerwone

Nie zgasi ich burza
ani wirujące bielmo śniegu
ani zasłona jesiennego
cierpliwego deszczu
Nie pogrążą ich oczy
ciemniejące od nienawiści

Te gwiazdy będą płynęły
dopóki Czepel*) oddycha
Ogromny
z czarnym grzebieniem kominów.

Budapeszt 1950 r.

CZAS KTÓRY IDZIE

Tyś się odgrodził od świata
trwogą ogromną i ssącą
że ludzie wtargną do źródła
i czyste wody roztrącą

A może tylko cisza
ziewa w tobie jak bagno
chcesz mieć spokój i idziesz
powoli na dno

Wejdź w siebie i zobacz
w pustce wszystko umiera
uciekaj stąd uciekaj
Rzeczywistość ramiona otwiera

Czas który idzie jest piękniejszy
ludzie nie będą umierali jak larwy
komunizm ludzi podniesie
obmyje z czasów pogardy...

OBIETNICA

Ja to odejmę przeszłości

Na skroni promień
oko pełznie w niebie
wargi stulone
ręce rozplecione
Ja to odejmę przeszłości

Ja człowiek pobity w tej wojnie
jak drzewo i trawa
ja wyziębiony
jak podziemia kościołów
ja dół pełen wspomnień
a jedne leżą na drugich

Stworzę dla was obraz nowy
pożywny i pełen ciepła

Wy nie znacie naszej śmierci
nie kryjecie pod korą
ciemnych korytarzy
wy z twarzami w słońcu
dzieci moje

Dla was milczę
w środku majowego pola

Za ręce się trzymamy
trawa kłuje nasze stopy
kwiaty jasnym patrzą okiem

Ja to odejmę przeszłości...

1950

*) „Czerwony Czepel" — dzielnica przemysłowa i robotnicza Budapesztu.

NAZIM HIKMET UWOLNIONY

Po trzynastu latach więzienia rząd turecki uwolnił Nazima Hikmeta. Uwolnienie poety nastąpiło na skutek presji postępowej opinii publicznej, zarówno w Turcji jak i w całym świecie, przed którą rząd turecki musiał skapitulować. Jest to jeszcze jedno zwycięstwo światowego ruchu obrońców pokoju.

ROMAN BRATNY

„KOREA"—TAK NAZWIJ SWÓJ WŁASNY DOM

Gdy ulica wre potokiem głębokim,
gdy tłumy na manifestacje ciągną
ja wychylam się z domu okien,
jak
z pędzącego na pomoc pancernego pociągu.

Muszę jak okrzyk
ten krótki tekst wiersza swojego
przekazać tłumowi,
— wiersz Polaka, patrioty koreańskiego.

„Od Korei ręce precz!"
— jak broń ściśnijmy
drążek transparentu.
Zamiast jutro na bagnety biec
dziś my
bronimy Korei na wiecu.

Krzyczmy!
Nasz głos jest mocny
— ileż na świecie w tej chwili naszych wieców!
Słowo „Korea" zrozumieją po polsku
robotnicy
amerykańscy i angielscy.

Słuchajcie co brzmi w tym okrzyku:
„Korea", to nazwa każdej naszej wsi,
to nasze ulice i ich
naszym tłumem zaludnione chodniki

Imperializmu kroki żołdackie
odeprze lud
— ale pamiętajmy:
Korea jest tuż.

Pokój będzie uratowany.
Ściśnijmy transparentów broń!
„Korea" — tak nazwij
swój własny dom.

JANINA PREGER

Nowe opowiadania Stanisława Wygodzkiego

KSIĄŻKA Wygodzkiego*) jest pisana przez człowieka o żywych zainteresowaniach politycznych, człowieka analizującego życie po marksistowsku. To marksistowskie spojrzenie stanowi wewnętrzną potrzebę pisarza. Tylko patrząc na świat pod tym kątem widzenia znajduje on wyjaśnienie jego problemów. Wygodzki jest bowiem powieściopisarzem „problemowym": nie chęć samego fotografowania żywiołowego procesu życia, nie potrzeba notowania przebiegu losów ludzkich wciska mu pióro do ręki. Wygodzki pisze, ponieważ życie stawia mu zagadnienia, refleksje na ich temat, analiza ich przyczyn jest tym, co kazało mu wstąpić na drogę prozaika. Jest to chyba najcharakterystyczniejsza cecha jego opowiadań. Żąda on wysiłku umysłowego, prowokuje do osądu zagadnień, domaga się zajęcia stanowiska. Wygodzki przedstawia czytelnikom swoje widzenie życia współczesnego, swoje rozumienie tego, co się u nas dzisiaj dzieje, swoją historyczną interpretację wczoraj dokonanych losów ludzkich. Jest to pisarz, który każe czytelnikowi nie tylko poddawać się sugestii naśladowania życia przez sztukę, ale zmusza go do interpretacji zjawisk, do wyboru stanowiska, do dyskusji z autorem — lub do przejścia na jego pozycje. To właśnie nadaje jego prozie odrębne, zdecydowane oblicze. Nowele Wygodzkiego są zaczątkiem literatury, która będzie niewątpliwie świadectwem myśli, zagadnień i obyczajów naszej epoki, świadectwem nowych form, jakie przybiera nasze życie w epoce budowania socjalizmu.

Centralnym problemem Wygodzkiego jest problem etyki socjalistycznej. Problem człowieka widziany oczyma marksisty jest osią, dokoła której skupiają się wszystkie zawarte w książce opowiadania, zarówno dotyczące czasów okupacji, jak współczesnych.

Opowiadania okupacyjne pisane są przytym również pod kątem widzenia perspektyw współczesności, pod kątem widzenia tych dróg, po których kroczymy dzisiaj do socjalizmu.

Jakaż to jest problematyka? Trzon tomu stanowią szkice z różnych dziedzin naszej codziennej walki o realizację planu sześcioletniego i wychowania socjalistycznego człowieka: szkic z akcji pomocy robotników dla wsi („Druga niedziela"), z zebrań partyjnych („Kandydatury", „Listopadowe zebranie", „Obcy", „Aby żyć"). Obrazki te są żywe jak reportaż, dużo w nich humoru i trafnego podchwycenia rysów obyczajowych, a wprowadzenie do literatury tej strony naszego życia współczesnego, tego czynnika naszej codzienności uważać należy za wielką zasługę autora. Mówić tu można o „wprowadzeniu" do literatury, gdyż w sposób równie prawdziwy i nie szablonowy — uczyniono to u nas bodaj po raz pierwszy. Pisząc o toku pracy partyjnej Wygodzki wprowadza naprawdę życie do literatury. Nie znaczy to, aby dotąd brakowało u naszych współczesnych prozaików scen zebrań partyjnych. Spotykaliśmy się z takimi opisami, ale nikt nie umiał ukazać ich tak plastycznie, ze znajomością rzeczy, odnaleźć w nich nurt walki moralnej o oblicze człowieka socjalistycznego. Pisząc o codzienności naszego ruchu politycznego, o tych drobnych na pozór sprawach, których jest tak wiele — Wygodzki umiał w tym pokazać i wielkość sprawy socjalizmu, i tę ważną rolę, jaką życie partyjne odgrywa dziś w kształtowaniu ogólnego oblicza życia naszego kraju. Wygodzki pisze o szczegółach, a umie sprawić, że czujemy ich miejsce w życiu kraju. Ze zmysłem realisty sięga po konkrety: sprawa jakiejś Katarzyny, lękającej się potępienia przez partię za to, że zaniedbywała swój udział w zebraniach, przygnieciona kłopotami rodzinnymi, chorobą; sprawa jakiegoś szofera, który oddaje czas swego wypoczynku, by dowieźć wsi wyremontowane maszyny rolnicze — ale nie umie pokonać wrogości wobec tychże chłopów, którzy wykazują brak uświadomienia politycznego; portrecik jakiegoś przedsiębiorczego byznesmana-analfabety, który pragnąłby pod skrzydłami partii bez przeszkód zarobić na „swoją kurę w rosole", itd., itd. W codziennych drobiazgach toczy się walka o wielką sprawę: o moralność socjalistyczną, o wykształcenie charakteru. Dlatego jeszcze raz trzeba podkreślić: zagadnieniem tej książki jest sprawa człowieka. Dzięki ukazaniu tej właśnie sprawy Wygodzkiemu udaje się pozyskać sympatię czytelnika i wzbudzić jego zainteresowanie dla tematu.

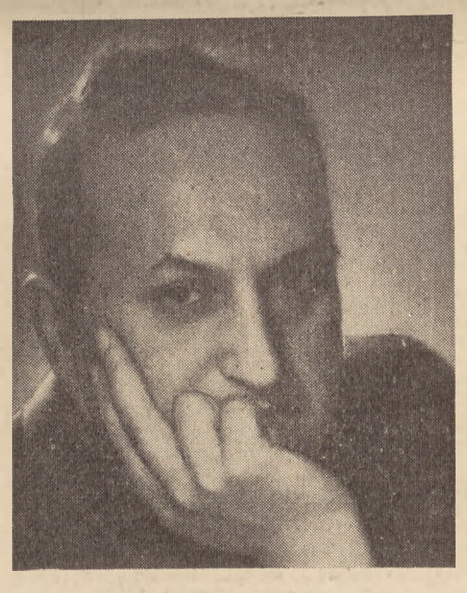

Stanisław Wygodzki

W opowiadaniu „Aby żyć" poruszony jest problem ogromnej wagi. Wygodzki ukazuje ludzi należących do partii, przeciętnych, o przedwojennym, średnim wykształceniu, ludzi, którzy uważają się za „porządnych" i „uczciwych" w swoim sumieniu — którzy jednak nie mają pojęcia o uczciwości socjalistycznej. Bohater opowiadania powiada, że „aby żyć" wolno było przed wojną ulegać presji „sanacji", wolno było tchórzyć i nie angażować się w walce związków zawodowych o prawa klasy robotniczej, ba, wolno było szukać zarobku na posadach w więziennictwie. Otóż, czy taki „porządny człowiek", który nikogo nie zabił i nie okradł — ma coś wspólnego z moralnością klasy robotniczej, z moralnością socjalistyczną? Nie, taki człowiek jest w partii obcy. Moralność biernego ustępowania z drogi, moralność służebna, która podaje bat „komu innemu", kto bije — jest obca ruchowi wyzwoleńczemu klasy robotniczej. Ludziom, którzy sądzą, że można iść z tą klasą, zachowując pojęcia upadającego mieszczaństwa, zachowując brak kręgosłupa i oddzielając prywatne postępowanie „aby żyć" od wyznawanych przekonań — pisarz ukazuje, jak bardzo się mylą.

W „Sprzymierzeńcach" przedstawiając rozprawę sądową przeciw niemieckiemu zbrodniarzowi wojennemu, próbuje autor rozszyfrować klasową linię podziału, przebiegającą przez społeczeństwo polskie za okupacji — i sięgającą dzisiejszych czasów. Autor nie utrzymuje oczywiście, aby ta linia podziału jeszcze dziś była identyczna ze stanem rzeczy z roku 1940, zaznacza wyraźnie, że pewne zjawiska społeczne w Polsce Ludowej już przestały istnieć, że hodowla ludzi typu pasożytniczego z każdym dniem traci u nas grunt pod nogami. Wskazuje jednak, że i dzisiaj nie wolno naiwnie uwierzyć w harmonię społeczną i zamykać oczu na to, w jakich warstwach społeczeństwa polskiego znajduje swoich sprzymierzeńców faszyzm.

Nowela ta interesująca i ciekawie zbudowana, kompozycja ma dużo dramatyczności. Oglądamy postaci świadków obrony — Polaków i odgadujemy wraz z autorem, jaka była rola społeczna tych jednostek w narodzie polskim pod okupacją i jaka jest dzisiaj, poznajemy ich maski i rzeczywiste oblicza. Przyczyny, dla których ten lub ów staje w szeregu obrońców niemieckiego zbrodniarza, są różne. Różne były pozycje społeczne tych ludzi, różne warunki ich kształtowały. Rozwiązanie zagadki, dlaczego Freusen znalazł obrońców, staje się coraz pełniejsze. Wreszcie występuje oskarżyciel. Jest to robotnik, komunista, który pomagał ludziom ściganym przez gestapo i sam przypłacił kalectwem i chorobą walkę i ukrywanie się przed hitlerowcami. Jego zeznania demaskują i kompromitują obrońców faszysty. Opowiadanie jest bardzo ciekawą próbą wyjaśnienia przez analizę społeczną indywidualnej postawy ludzkiej i postawy pewnych ugrupowań. W „Sprzymierzeńcach" sprawy okupacyjne naświetlają perspektywę dzisiejszości.

To samo podejście znajdujemy w dłuższym szkicu „Czy napiszę powieść?" Okupacja, barbarzyństwo Niemców, cierpienia Żydów nie są tu oglądane jako Apokalipsa, kiedy to sprawiedliwi będą po jednej stronie, złoczyńcy po drugiej. Nie ma jednej strony, z chwilą wybuchu wojny nie ustała walka klasowa, nawet w prześladowanym społeczeństwie. Takie jest tło opowieści Wygodzkiego. Ten pogląd nie ogranicza spojrzenia autora do jakiegoś schematu. Wyznawać marksistowski pogląd na świat to nie znaczy wcale uważać, że wszystko w życiu ludzkim i w ludzkiej duszy jest z góry wiadome, jasne, proste i wytłumaczone. Wygodzki dostrzega błąkanie się człowieka, ograniczoność ludzkiego umysłu i błędność przewidywań. Głównym bohaterem opowiadania — ponoszącym heroiczną śmierć, jest komunista Wawrzyniec, robotnik. Prócz niego wysuwają się dwie postacie: narrator, inteligent-komunista — oraz inżynier F. wynalazca karierowicz, typ inteligenta otumanionego imperialistycznymi hasłami faszystowskiej burżuazji, żyd pracujący dla niemieckiej dyrekcji polskiej fabryki przed rokiem 39, gotów „iść na Ural", by tam nieść „misję cywilizacyjną" imperialistycznych mocodawców. Casus inżyniera F. jest arcyludzki... W obliczu śmierci, w obliczu nieuchronnej likwidacji getta przez hitlerowców — poznaje on swój błąd. Pajmuje, że stawiał na fałszywą kartę i że ocalenie mógł przynieść jemu i innym ofiarom hitlerowców — tylko kontakt z podziemną organizacją komunistyczną, która działa na tym terenie. Czy szło mu o swoją skórę, czy też przekonał się o błędzie ludzi podobnych, inteligentów, którzy związali swoje losy z burżuazją? — Zdradzieckie postępowanie burżuazji żydowskiej w getcie mogło wiele nauczyć.

W każdym razie nikt inżynierowi F. nie ufa, nie ufa mu też narrator, który boi się zdrady i nie ułatwia kontaktów z komunistami. Inżynier pozostaje w skazanym na zagładę getcie, a narrator, po wyspie Wawrzyńca, idzie do Oświęcimia. Inżynier dowiódł, że tym razem nie szedł drogą zdrady, nieufność narratora w stosunku do niego była pomyłką, która równała się wyrokowi śmierci dla nich obu i dla wielu innych ludzi z getta, o których mogliby walczyć. Łatwo było w owych czasach o takie pomyłki. Sposób narysowania postaci inżyniera dowodzi, że Wygodzki daleki jest w swych opowiadaniach od schematyzmu. Rozumiejąc rolę uwarunkowania społecznego w formowaniu psychiki człowieka — rozumie też całą złożoność spraw psychicznych.

Opowieść jest głęboko ludzka. Na czoło wysuwa się postać niepozornego Wawrzyńca, upartego ideowca i niezłomnego komunisty również i w chwili śmierci. Taki jest akcent końcowy tego tragicznego opowiadania. Akcent postawiony właściwie, bo podkreśla nie beznadziejność spraw okupacyjnych, lecz najwyższą rację walki o socjalizm i sens ludzkiego bohaterstwa.

Wygodzki umie powiedzieć czytelnikom prawdę o człowieku, o lęku i cierpieniu, którym człowiek jest podległy, a zarazem pokazać, jak mimo to jest wytrwały w walce i wierny idei.

(Dokończenie na stronie 4)

*) Stanisław Wygodzki „Widzenie". PIW. Warszawa, 1950, str. 274 i 4 nlb.

O TAK ZWANEJ SAMOTNOŚCI

Elektrotechnik - monter
na słup się wspiął
wśród drzew podmiejskiej osady.
Oto nasz człowiek mądrze
I głębiej wciąż
W sieci techniki wplątany.

Dzisiaj proletariatu palce
czule chwytają druty przewodów
Bowiem proletariatu głos
tamtędy przewodzą.

I tutaj krach —
wiersz o technice załamuje indywidualna przygoda:
dzwonek: trrach!!!
Alarm! W dalekim mieście
chora jesteś, chora jesteś, chora jesteś!!

Samolotem gnam na spotkanie
z twoim wzrokiem zasnutym bólem.
W dalekim mieście.
umiera istnienie ukochane
— na skrzydłach ku niej!

Miłość — nawet ona — to fakt —
Żyć nie może bez wielkiej wieku techniki
Może serca twojego takt
w rękach czystych, w rękach chirurga
jeszcze żyje, jeszcze nie umarł
w dalekim mieście.

Na pozór w dzień, w jasny dzień! —
Słońce skręciło na zachód.
Po cóż się wleczesz za mną jak cień
Zmierzchu — zbrodniarzu?

Jestem samotny pod niebem
na skrzydłach z żelaza
osłabły z niepokoju —
w dalekim mieście umierasz
...jestem samotny

Na pozór w noc, w czarną noc
zawędrowało tysiąc słońc,
w dalekim mieście
wiadomość rzuca się na szyję
— żyjesz, żyjesz, żyjesz!

Było tak: telefonicznie
wiadomość mnie schwytała
— monter naprawił linie —
chwała mu? chwała!

Aby powietrze uniosło mnie
osiodłane żelazem
tysiące ludzi trudziło się
razem.

A tam, a tam
w dalekim mieście
czekała na mnie wieść.
że karetką
— a niech się schowają inne karoce —
zdążyli ją przewieźć
— znowu jacyś tam: lekarz, pielęgniarka, szoter —
w stronę życia
w dalekim mieście.

Gdzie jest miejsce na samotność?
w dalekim mieście
czuwają ludzie
na pozór w noc, w czarną noc
zawędrowało tysiąc słońc...

...w elektrowni palacze czuwają
w dalekim mieście
patrzą na ocaloną, na nią
ku której pielęgniarka szklankę życia niesie.

ROMAN ZIMAND

O samotności i jej klasowych źródłach

I.

Hans Fallada należał przed wojną do najwybitniejszych pisarzy drobnomieszczańskich. Jego „szary człowiek" stał się postacią przysłowiową — sukces dostępny niewielu artystom. Ten „szary człowiek", typowy drobnomieszczanin, wiedział wprawdzie, że kapitalizm to zło, ale nie wiedział co w tym świecie dalej czynić, nie rozumiał mechanizmu świata. Dlatego też był przygnębiony, naprawdę szary i pesymistyczny. Dlatego „szary człowiek" wraz ze swym twórcą — pisarzem dał się bezwolnie ponieść mętnemu prądowi tysiącletniej Rzeszy.

Od czasu napisania „I cóż dalej szary człowieku"? minęło kilkanaście lat. Naród niemiecki przeżył okres swego najstraszliwszego upadku, z którego dźwignęła go Armia Radziecka. I oto Hans Fallada, który, choć późno, zaczął rozumieć, że faszyzm nie rozwiązuje problemu „szarego człowieka", postawił przed sobą dwa pytania: jak zachowywali się jego „szarzy ludzie" wobec potworności rządów faszyzmu? i co to właściwie były rządy faszyzmu?

„Szarzy ludzie" to Otto Quangel i jego żona Anna. W dniu kapitulacji burżuazyjnej Francji otrzymują wiadomość, iż syn ich zginął „za führera". Śmierć jedynego syna staje się punktem zwrotnym w życiu tych dwojga ludzi. Otto Quangel uderzony słowami żony: „Ale to wyście tak urządzili z tą waszą wojną, ty i twój Führer" — uświadamia sobie, że milcząc i trwając w bezczynności staje się współwinnym zbrodni hitleryzmu. I Otto Quangel — stary majster, niegdyś stolarz - artysta — postanawia walczyć z hitleryzmem.

Od tego dnia Quangelowie systematycznie podrzucają w uczęszczanych domach kartki, pisane przez starego majstra. Kartki zawierają kilka słów, czasem dwa trzy zdania: „Matko führer zabił twego jedynego syna".

Już pierwsza kartka podrzucona przez Quangla trafia do rąk gestapo. Zaczyna się samotna, bohaterska walka: po jednej stronie — para „szarych ludzi", po drugiej aparat siły państwa faszystowskiego. Walka ta, a potem proces Quanglów — to fabuła książki. Na jej tle Fallada pokazuje całą galerię faszystów: od komisarza gestapo Estericha począwszy a na sutenerach i złodziejach jak Kluge i Borkhausen skończywszy.

Quangelowie to odpowiedź na pierwsze pytanie: jak „szary człowiek" walczył z faszyzmem.

Otto Quangel — to drobnomieszczanin. Wiemy wprawdzie o tym, że pracuje w fabryce ale z klasą robotniczą, z jej tradycjami i świadomością nic go nie wiąże. Walkę swą podejmuje sam wraz z żoną i ginie również samotny. Istotą jego walki nie jest chęć wyzwolenia Niemiec. Występuje on przeciw hitleryzmowi w imię sprawiedliwości, w imię tego, że nie chce być współodpowiedzialnym za zbrodnie Hitlera. Ta idea sprawiedliwości, która staje się siłą napędową życia obojga Quanglów również nie jest proletariacka — jest to sprawiedliwość „w ogóle". Charakterystyczna dla tego pojęcia sprawiedliwości jest wypowiedź jednej z pobocznych osób występujących w powieści — emerytowanego radcy sądowego Fromma, który również jak Quanglowie jest przeciwnikiem hitleryzmu. „Zwycięstwo sprawiedliwości — powiada sam do siebie Fromm — nie będzie zwycięstwem narodu niemieckiego". (Jest to, oczywista, błąd tej metafizycznej sprawiedliwości: zwycięstwo proletariackiej sprawiedliwości musiało się stać i stało się początkiem odrodzenia i zwycięstwa narodu niemieckiego).

Walka, którą toczy Quangel była z góry skazana na niepowodzenie, nie dlatego, że z potężną machiną gestapo nie można było walczyć, ale dlatego, że wychodziła z błędnych założeń i nie miała żadnego określonego celu.

Dlaczego dzieje się tak, że mimo tych błędów postacie Quangla i jego żony są jednak czytelnikowi bliskie?

Po pierwsze dlatego, że tych dwoje ludzi to zdeklarowani antyfaszyści.

Po drugie, że są ludźmi czynu, ludźmi którzy doszedłszy raz do wniosku, że hitleryzm to zło, z całą odwagą wyciągają stąd dla siebie praktyczne konsekwencje.

Po trzecie wreszcie dlatego, że Quanglowie są swej idei oddani bezgranicznie. Stąd właśnie z tej idei walki z hitleryzmem bierze się ta imponująca siła moralna dwojga starych ludzi. Quanglowie w swej purytańskiej bezkompromisowości, osiągnęli takie napięcie ideowe jakiego warstwa z której wyszli nie znała od czasu dyktatury jakobinów. Dzięki swej nienawiści do hitleryzmu stali się ludźmi, u których podczas śledztwa w gestapo widać „błysk w oku... błysk, który mówił wśród męczarni o chłodnej, nieomal ironicznej przewadze". Od swoich przeciwników i oprawców są wyżsi o całe swoje człowieczeństwo.

To, że Quangel walczy i umiera w samotności dzieje się z całkowitą zgodą Fallady. Świadczy o tym nie tylko tytuł książki. Quangel, obiektywnie rzecz biorąc, miał możność dwukrotnie spotkać się z uczestnikami konspiracyjnego ruchu oporu. Raz przez narzeczoną swego syna Trudę, drugi raz w więzieniu. Ale z kontaktu przez Trudę Quangel rezygnuje — chce walczyć sam; z robotnikami, którzy walczą z hitleryzmem nie łączy go nic.

Tę grupę bojowników Fallada pokazuje nam urywkowo dwa razy w toku powieści. Ten ułamek konspiracji, której autor nie nazywa po imieniu ale która, jak można się domyśleć, związana jest z K.P.D. wywołuje największy sprzeciw.

Pokazani przez Falladę ludzie konspiracji tak nie mają nic wspólnego z rzeczywistą walką przeciw faszyzmowi prowadzoną w tych latach przez komunistów niemieckich, że trudno uznać ich za coś innego niż za czystą fantazję autora.

Fallada popełnił w swej powieści wiele błędów, ale postacie Grigoleita, Oseska i Karola Hergesella, to — niezależne od woli autora — paszkwil na niemiecki Ruch Oporu. Cała słabość i błędność drobnomieszczańskiej literatury ujawnia się w tych niezdarnych scenach, w których występują walczący o wolność robotnicy niemieccy. Grigoleit i Osesek — to dowód ze Fallada nie rozumiał co się wokół niego dzieje, że widział świat w krzywym zwierciadle klasowych przesądów drobnomieszczaństwa.

Możliwości drugiego zetknięcia się z komunistami w więzieniu Fallada nawet nie dostrzega, mimo że realnie rzecz biorąc Quangel miał w hitlerowskim więzieniu większe szanse zetknięcia się z komunistami niźli z człowiekiem typu dr. Reichardta. Ten współwięzień Quangla jest również jak stary majster samotny, ale jeszcze mniej od niego realny.

Fallada do tego stopnia zasugerowany jest samotnością Quangla, że nie dostrzega wagi rzeczy, o których sam pisze. Kiedy Quangel idzie na ścięcie z głębokiej ciszy cel więziennych dochodzi go nagle głos: „Bądź zdrów towarzyszu". Fallada nie rozumie wstrząsającego piękna tego okrzyku, siły tego słowa „towarzyszu". W słowach tych widzi tylko nonsensowność zwrotu „bądź zdrów" skierowanego do człowieka, idącego na gilotynę.

Ta absolutna samotność Quangla, której Fallada trochę pomaga, wypływa, jak się zdaje, z samej koncepcji głównego bohatera. Quangel i jego żona, to spotęgowani biblijni Lotowie w hitlerowskiej Sodomie. Ale postacie biblijne tworzone w okresie wojen imperialistycznych i rewolucji proletariackich muszą nosić piętno fałszu. Tak też jest z Quanglami: są oni szlachetni, ale nie prawdziwi.

Fallada zapoznaje nas z całą galerią hitlerowców. Większość postaci — jak sutener i gracz w „totka" Enno Kluge, sędzia Feisler czy komisarz Escherich i hitlerowska rodzina Persicke — pokazane są z dużą wnikliwością. Książka przekazuje w doskonały niemal artystycznie sposób jedną prawdę o Rzeszy: rządy hitlerowców oparte były na podłości i strachu. Ale ta prawda nie wyczerpuje zagadnienia istoty hitleryzmu; jest ona tylko stwierdzeniem faktu, stwierdzeniem dokonanym zresztą z dużą pasją artystyczną. Fallada jednak poza to stwierdzenie faktu nie potrafi wyjść, nie widzi on klasowej istoty faszyzmu.

Stąd cały szereg błędów lub niekonsekwencji.

Hitleryzm — to rządy łotrów podszytych tchórzem. Ale jak się stało, że ludzie tego rodzaju przez dwanaście lat rządzili Niemcami, tego Fallada nie potrafi wytłumaczyć.

Rządy ludzi podłych i tchórzliwych to dla Fallady w znacznej mierze rządy przypadku i kaprysu losu lub poszczególnych gestapowców. A tam, gdzie światem zamiast praw walki klasowej rządzi przypadek, tam jest miejsce na „cuda". Takim cudem jest w powieści „nawrócenie" gestapowca Eschericha, który schwytawszy Quanglów przekonuje się, że mieli oni rację i popełnia samobójstwo. Cała ta historia wygląda tym nieprawdopodobniej, że Fallada z dużym realizmem pokazuje przed tym całą „normalną" podłość Eschericha, należącego do t.zw. „porządnych" gestapowców.

Hitleryzm dla Fallady to przede wszystkim pejoratywna kategoria etyczna. A kategorii etycznej wystarczy przeciwstawić drugą kategorię etyczną. Stąd antyteza hitleryzmu — Quanglowie, którzy są szlachetni i odważni. W świecie ponadklasowo traktowanej etyki takie przeciwstawienie może być wystarczające. W rzeczywistym świecie, w którym hitleryzm był realną siłą społeczną, wyrazem dążeń ginącej klasy, trzeba mu było przeciwstawić drugą realną siłę — antyfaszystów całego świata pod wodzą społeczeństwa radzieckiego.

Ten błędny obraz faszyzmu i związana z nim idea przewodnia powieści mści się na talencie Fallady. Wychodząc z błędnych założeń Fallada musiał dojść do błędnych wniosków. Fallada nie rozumiał faszyzmu, nie rozumiał mechaniki historii i dlatego dał fałszywy obraz faszyzmu i walki z faszyzmem. Obraz ten mimo iż świadczy o dużym talencie autora i jego niewątpliwej dobrej woli, jest do tego stopnia nieprawdziwy, że należy się poważnie zastanowić nad celowością wydania „Każdy umiera w samotności" wśród pierwszych pięciu pozycji nie powojennej literatury niemieckiej.

II.

„Ale nie skończymy tej książki śmiercią — poświęcona jest życiu..." — pisze w ostatnim rozdziale Fallada.

Ten ostatni rozdział ma pokazać, że Quanglowie ginęli nie na darmo. Autor przenosi nas w rok 1946. Budowniczymi niezwyciężonego życia są Ewa Kienschaeper i jej przybrany syn Kuno.

Ewa Kienschaeper była żoną małego sutenera Enno Kluge. Nie mogąc się pogodzić z podłością męża i partii wystąpiła z NSDAP i uciekła z Berlina na wieś. Tam jeszcze w czasie wojny znalazła swoje szczęście. Na stronicach powieści Fallady znów pojawia się drobnomieszczański mit „małego" szczęścia „małego" człowieka. Ewa pracuje w polu, poznaje nauczyciela wiejskiego, zostaje jego żoną i bierze na wychowanie zbłąkanego syna złodzieja i szpicla Brokhausena.

Szczęście Ewy i Kuna jest mgliste i nieokreślone: „kto sieje ten zbiera, a chłopak zasiał dobre ziarno". Dzieje się tak dlatego ,że w XX wieku po drugiej wojnie światowej nie można nie tracąc poczucia rzeczywistości tworzyć mitów. A szczęście Ewy i Kuno równie samotne jak walka i śmierć Quanglów trąci mocno mitologią „błogosławieństwa ziemi".

Mogłoby się pozornie wydawać, że epilog powieści Fallady został sztucznie doczepiony. Tak nie jest. Kiedy mówimy, że w utworze artystycznym zostało coś „na siłę doczepione", to mamy na myśli fragment, który stoi w kolizji z treścią ideową dzieła. Ostatni zaś rozdział „Każdy umiera w samotności" wypływa z tego samego podłoża co cała książka. Jest w swych zamierzeniach jak najlepszy, a w swej realizacji ma wszystkie błędy drobnomieszczańskiego spojrzenia na świat.

III.

Surowość spojrzenia i bezkompromisowy stosunek do faszyzmu — oto rysy charakterystyczne takich utworów jak „Siódmy Krzyż", „Nasza Ulica" czy — mimo błędów — „Każdy umiera w samotności". Ale w ramach tego antyfaszystowskiego nurtu literatury niemieckiej trafiamy na różne pozycje. Nie chodzi tu rzecz jasna o różnice talentu pisarskiego, choć i one odgrywają swoją rolę. Istota różnic dzielących niemieckich pisarzy — antyfaszystów leży gdzie indziej. Sedno zagadnienia tkwi w tym, czy dany pisarz rozumie to co się dokoła niego dzieje; w literaturze porachunków z hitlerowską przeszłością probierzem wysokiej klasy pisarstwa jest to, czy autor rozumie klasową istotę faszyzmu, czy potrafi dostrzec źródła odrodzenia narodu niemieckiego, czy obraz walki narodu niemieckiego jaki widzi jest prawdziwy.

Najbardziej może reprezentatywnymi dla dwóch różnych spojrzeń na te zagadnienia są takie książki jak: „Rodzina Oppenheim" Feuchtwangera i „Nasza ulica" Petersena. Obaj pisarze są antyfaszystami, obaj opisują ten sam okres: dojście Hitlera do władzy. Dla Feuchtwangera hitleryzm to katastrofa, rządy barbarzyńców z lasu Teutoburskiego, kataklizm spadły jak plaga na naród niemiecki. Feuchtwanger w „Rodzinie Oppenheim" nienawidzi faszyzmu, ale nie rozumie jego istoty. Rodzina Oppenheim a wraz z nią cały świat mieszczańskiej liberalnej inteligencji został rozbity.

Petersen daje zupełnie inny obraz przewrotu r. 1933. Petersen jest nie tylko artystą — rozumie on otaczający go świat, zna prawa rządzące społeczeństwem. Hitleryzm dla Petersena — to przede wszystkim dyktatura wielkiego kapitału, kapitału, który w obliczu rewolucji proletariackiej zrywa ze wszystkimi „przesądami" liberalno - burżuazyjnej demokracji i postanawia za wszelką cenę zgnieść proletariat. W rzeczywistym świecie walk klasowych, które zrodziły faszyzm, istnieją dwie siły realnie z nim walczące — Związek Radziecki i niemieccy komuniści. Petersen widzi te dwie siły i wierzy w ich ostateczne zwycięstwo. W książce Petersena nie ma samotnych bojowników — jest Związek Radziecki, jest partia, są milionowe rzesze rewolucjonistów całego świata.

Przykład antyfaszystowskiej literatury niemieckiej jest jeszcze jednym potwierdzeniem tezy mówiącej, iż w dzisiejszych czasach twórca musi być marksistą, inaczej przedstawiony przezeń obraz świata będzie nieprawdziwy, a to pociąga za sobą przykre, artystyczne konsekwencje.

Książka Fallady wyrosła z nienawiści do faszyzmu i z niezrozumienia jego istoty. Stąd jej siła i słabość. Mimo wszystkie różnice z powieścią Feuchtwangera łączy ją jedno—aklasowe spojrzenie na faszyzm, jako na nie dające się wytłumaczyć rządy barbarzyńców i degeneratów. Że faszyści byli barbarzyńcami i degeneratami to fakt oczywisty, ale nie było to barbarzyństwo biologiczne, barbarzyństwo „w ogóle". Faszyści byli i są degeneratami, bowiem klasa reprezentowana przez nich jest zdegenerowana. Tego Fallada nie widzi.

Ale pisarza nie wolno traktować metafizycznie. W okresie powojennym, kiedy pisarze niemieccy wybierali między przejściem od hitlerowskiego do amerykańskiego faszyzmu a walką o nowe Niemcy, Fallada opowiedział się po stronie nowych Niemiec. „Każdy umiera w samotności" — to artystyczna próba udokumentowania tego politycznego kroku. Jest to próba ciekawa, ale nieudana. Ostatnia powieść Fallady to świadectwo przełomu drobnomieszczanina, przełomu jeszcze nieznacznego i niestety przerwanego śmiercią autora.

Roman Zimand

EGON NOGANOWSKI

Pod urokiem Francji

Henryk Mann

W przeciwieństwie do młodego Tomasza Manna, którego silnie pociągali autorzy rosyjscy, skandynawscy i angielscy, Henryk Mann wychował się jako dojrzewający pisarz na postępowych tradycjach kultury francuskiej i na dziełach czołowych przedstawicieli francuskiej literatury. Jego powieściom społecznym wcześniejszego okresu patronowali realiści i naturaliści francuscy a dramaty „Madame Legros" i „W drodze do władzy" napisane w drugim dziesiątku lat naszego wieku mają za temat Wielką Rewolucję. Z pod pióra Manna wyszły ponadto liczne i wnikliwe studia krytyczne o takich pisarzach, jak Voltaire, Stendhal, Hugo, Flaubert, Zola i France, których podziwiał za odwagę w zwalczaniu przesądów, niesprawiedliwości i ucisku, za aktywny, walczący humanizm, tak rzadki u mieszczańskich autorów niemieckich, zamykających się przeważnie w przysłowiowych wieżyczkach z kości słoniowej.

Henryk Mann, idąc w ślady Heinego, był też gorącym rzecznikiem zbliżenia niemiecko-francuskiego na płaszczyźnie demokratycznej i szczerze pokojowej. Szczególnie za czasów republiki weimarskiej dokładał wszelkich starań, by doprowadzić do rzeczywistego porozumienia między postępowymi ludźmi z obu stron Renu, za co go szowiniści i reakcjoniści niemieccy okrzyczeli „zdrajcą interesów narodowych". Będąc wybitnym znawcą literatury i historii francuskiej, władając znakomicie francuskim językiem, ceniąc wysoko francuski racjonalizm, cechującą go swobodę, jasność i precyzję myśli, Henryk Mann uważał zawsze kraj Montaigne'a i Voltaire'a za swoją drugą ojczyznę. I dlatego osiedliwszy się po roku 1933 w Nicei nie miał bynajmniej wrażenia, że przebywa na wygnaniu. Pisząc pełne bojowej pasji artykuły publicystyczne w języku niemieckim i francuskim, prowadził literacką i polityczną walkę przeciwko faszyzmowi, wspólnemu wrogowi wszystkich uczciwych Niemców i Francuzów. Prawdziwa emigracja zaczęła się dla niego dopiero z chwilą, gdy pewnej nocy w lecie 1940 r. przekraczał pokryjomu granicę w Pirenejach, by nie wpaść w ręce policji rządu Vichy. Ale przed tym jeszcze, w latach 1935—7, napisał na ziemi francuskiej dzieło, które krytycy zgodnie uważają nie tylko za szczytowe osiągnięcie twórczości Manna, ale też za „najpiękniejszy hołd oddany kiedykolwiek przez Niemca geniuszowi Francji". Była to powieść historyczna o hugenockim królu Henryku IV, której pierwsza część pt. „Młodość króla Henryka IV" ukazała się obecnie w bardzo dobrym polskim przekładzie *).

Autor opisał w niej jeden z najburzliwszych okresów francuskich dziejów, czasy między latami 1560 — 1590, kiedy to krajem wstrząsały zacięte wojny domowe pomiędzy katolikami a protestantami, wojny, które właściwie nie były niczym innym, jak krwawą rozgrywką o koronę prowadzoną przez książęce rody. Możni i mniej możni panowie wykorzystywali zaś ogólne zamieszanie, by pod płaszczykiem obrony tak czy inaczej pojmowanych artykułów wiary wydzierać sobie nawzajem połacie ziemi i łupić niemiłosiernie mieszczan i chłopów. Tak więc prosty lud płacił ostateczny rachunek za nienasycone ambicje jednych i zachłanną chciwość drugich, przy czym zwalczające się strony zaszczepiały w nim i rozdmuchiwały fanatyzm religijny, straszliwą, irracjonalną siłę, każącą ginąć biedakom w imię cudzych, pańskich interesów.

Dla uniknięcia nieporozumień należy jednak odrazu zaznaczyć, że powieść Manna nie zajmuje się prawie wcale francuskim ludem, jego dola i niedola stanowi tylko dalekie, często domyślne tło dla wypadków, których jedynymi aktorami są wielcy panowie i ludzie z ich najbliższego otoczenia. Obraz szesnastowiecznej, feudalnej Francji narysowany w ten sposób przez autora nie jest więc pełny. Jeśli natomiast chodzi o odtworzenie środowiska dworskiego, jego walk politycznych, intryg i obyczajów, a dalej o rozszyfrowanie i przedstawienie psychiki i motywów działania głównych, wyłącznie zresztą historycznych postaci, to Mann zdradza znakomitą znajomość epoki i wznosi się na szczyty kunsztu pisarskiego. Odmalowując i odsłaniając maskowaną przepychem podłość, rozwiązłość i nicość ówczesnego „wielkiego świata", w którym młody Henryk, król Nawarry, późniejszy Henryk IV francuski, dojrzewa do przyszłej roli oświeconego i humanitarnego władcy, autor stworzył coś w rodzaju dworskiego eposu, przywodzącego na myśl wspaniałe gobeliny utkane w pracowniach renesansu.

W centralnym punkcie tego gobelinu Mann umieścił Luwr Walezjuszów, gdzie króluje pozbawiona wszelkich skrupułów Katarzyna Medycejska, faktyczna władczyni Francji, mimo, że nominalną władzę sprawują po kolei jej chwiejni, bezwolni synowie — Franciszek II, Karol IX i Henryk III. Katarzyna, mistrzyni obłudy i zdrady, nieprześcigniona intrygantka i specjalistka od tajemnych mordów, wygrywa fanatycznych katolików ks. de Guise przeciwko protestantom Henryka Nawarrskiego i odwrotnie, truje matkę tego ostatniego, by go potem ożenić ze swoją córką Małgorzatą, a w dniu zaślubin urządzić krwawą rzeź hugenotów, znaną w dziejach pod nazwą Nocy św. Bartłomieja.

Wszystko to, jak też powstanie Świętej Ligi, tzw. wojnę trzech Henryków, zamordowanie diuka de Guise a potem ostatniego Walezjusza i wreszcie zwycięstwo Henryka IV, szczególnie zaś intrygi, spiski i zakulisowe rozgrywki poprzedzające te wypadki, względnie im towarzyszące, widzimy w powieści Manna przede wszystkim z perspektywy Luwru, w którego salach i komnatach zbiegają się nici akcji i spotykają główni bohaterowie. Autor z niezwykłą swobodą uruchamia wielki aparat historyczny, krzyżuje, wikła i rozplątuje sensacyjne wątki, konstruując z nich pasjonującą całość. Posługując się zwartym i błyskotliwym stylem iskrzącym się zwrotami, pełnymi iście francuskiego esprit, iście francuskiej elegancji, Mann rysuje subtelnymi liniami kontury wielu postaci, które pozostają nam w pamięci może nie tyle jako zjawiska fizyczne, ile jako organizacje psychiczne o dużej wyrazistości i dynamice. Bohaterów powieści poznajemy przede wszystkim dzięki licznym, wspaniale oddanym rozmowom, w czasie których Madame Katarzyna — tak ją dworzanie nazywają — zarzuca misterne sieci na swoje ofiary, młodzi Walezjusze oscylując między poddaniem się woli matki a buntem przeciwko jej intrygom i zbrodniom, załamują się i kapitulują, Henryk i Małgorzata prowadzą swą skomplikowaną grę miłosną, skrytobójcy i szpiedzy odbierają zlecenia, wszyscy zaś razem używają słów po to, by ukryć myśli.

Obok dramatycznych rozmów i scen kameralnych do najświetniejszych partii książki należą różne sceny zbiorowe, umiejscowione w Luwrze, z opisem Nocy św. Bartłomieja i poprzedzających ją dni na czele. Z nieporównaną sugestywnością wydobywa Mann atmosferę uczt, orgiastycznych zabaw, skrywanej nienawiści, czającej się zdrady i wreszcie samej rzezi. Niby w obłędnym, a jednak realistycznie uziemionym śnie przesuwają się postaci zakłamanych dworaków, mordujących siepaczy, hugenockich rębajłów i swawolnych pań, jakby żywcem wziętych z Brantôme'a — tłum statystów krwawego widowiska, w którym tchórzostwo splata się z bohaterstwem, tragedia z groteską lub żałosną farsą. Całość jest zaprawiona silnym erotyzmem. Dosadne opisy sytuacji i spraw miłosnych nie wywierają jednak u Manna trywialnego wrażenia. I tu, mimo demaskatorskiej tendencji góruje francuska lekkość, jakiś specyficzny wdzięk charakterystyczny np. dla pięknej Małgorzaty de Valois, nimfomanki i sawantki w jednej osobie, która — mówiąc słowami autora — znała się „na równi na dobrej budowie ciała męskiego, jak i łacińskich wierszy". Historie miłosne grają zresztą choćby z tego powodu ważną rolę w powieści, że Madame Katarzyna, zgodnie z historyczną prawdą, używa wdzięków swego płochego fraucymeru do celów ściśle politycznych.

Jeżeli chcemy teraz odpowiedzieć na pytanie, jaki jest istotny sens powieści, to musimy się nieco bliżej przypatrzyć tytułowemu bohaterowi i idei, którą reprezentuje. Mann nie zrobił z niego bynajmniej rycerza sans peur et sans reproche, nie idealizuje go, ani mitologizuje. Henryk, to chłopiec, a potem młody człowiek, który nie bardzo rozumie dlaczego matka każe mu nienawidzieć króla Francji, bić się za protestancką wiarę i żywić wielkie ambicje. „Kobiety są urocze — powiada — i zajęcie się nimi daje większą satysfakcję niż wojna, religia i droga do tronu". Pojąwszy za żonę Małgorzatę, exkochankę swego zaciętego wroga ks. de Guise i zarazem córkę kobiety, która otruła jego matkę, Henryk niby to przewodzi huge-

(Dokończenie na str. 7)

*) Henryk Mann: „Młodość króla Henryka IV", t. I, str. 280, przeł. Aleksander Wat, t. II, str. 301, przeł. Maria Wisłowska. Książka i Wiedza, Warszawa, 1949.

Nowe opowiadania Stanisława Wygodzkiego

(Dokończenie ze strony 3)

Jak widać z doboru tematów i z problematyki, jaką podejmuje Wygodzki, książka jest ciekawa i ma „ciężar gatunkowy". Pisarz dostrzega i umie wydobyć właściwą problematykę dnia dzisiejszego. Pewne zarzuty mogłyby dotyczyć natomiast formy opowiadań, która u Wygodzkiego jest „improwizowana", niewykończona w stopniu takim, w jakim można by sobie tego życzyć. Język nowel jest pośpieszny, zbyt mało opracowany. Widać, że autor nie miał czasu „posiedzieć" nad książką i cyzelować swoich opowiadań. Styl jego jest zbyt szary, i zbyt mało ma indywidualnej ekspresji w porównaniu do zasobu treści, jakie wypowiada. Jest to pół gawęda, pół reportaż, problemy chwyta „na surowo" i niemal bez przeróbki artystycznej podaje czytelnikowi. Wskutek tego problemy nie zyskują tej głębi, tego znaczenia, do jakich potrafi je wynieść wielkie dzieło sztuki. Niejedno trzeba by tu transponować, przenieść na inny plan, z którego głos rozlega się donośniej. Myślę w tej chwili szczególnie o opowiadaniach „partyjnych", o świetnie chwytającym problem opowiadaniu „Aby żyć". Charakterystyczny wypadek trzeba umieć podnieść do problemu — nie starczy, że autor go widzi, że umie patrzeć i myśleć. Również za mało wkładu pracy artysty widać niekiedy w psychologii postaci. Tak jest na przykład z ważną postacią inżyniera F. Aby uczynić go ludzkim, abyśmy nie robili autorowi zarzutu, że rozczula się nad wyzyskiwaczem i sługusem — trzeba było rzecz poważniej, szerzej podbudować psychologicznie.

W powieści problemowej czytelnik zwraca pilną uwagę na refleksje autora, a te nie są zawsze dość precyzyjnie ujęte i nie zawsze formułują dość ważne spostrzeżenie czy uogólnienie. A w takich wypadkach lepiej by było je opuścić, niż dawać rzeczy czy to nie nowe, czy nie skrystalizowane ostatecznie. Nie zawsze również autor radzi sobie z ramą powieści. Bywa ona luźno związanym z powieścią balastem retorycznym, jak np. wstęp do szkicu „Czy napiszę powieść?". Tytuł zdradza tu koncepcję ramy czysto retorycznej, nieważnej dla istoty rzeczy. Bo przecież autor w istocie ani przez chwilę nie miał zamiaru wysuwać na pierwszy plan — wobec tak wielkich zagadnień, jakie porusza — swojej osobistej sprawy literackiej: czy jest to dobry materiał na powieść, czy mu się uda powieść napisać. Jest to zresztą w tym tomie jedyny taki wypadek. Inne tytuły dobrze chwytają zagadnienie i są właśnie jednym z elementów artystycznego podnoszenia wypadku do rangi problemu ogólnego.

Janina Preger

STANISŁAW WYGODZKI

Ilustrował K. Sosnowski

PRZED ŚWITEM

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

Byłem niemal przerażony. Pierwszy raz w życiu znalazłem się w podobnej sytuacji, nie wiedziałem, jak z niej wybrnąć, bo Rychwał mówił niewątpliwie prawdę. Znów przypomniałem sobie treść pisma nadesłanego z gminy, gdzie Baran ongiś mieszkał: „nie ma akt, któreby obciążały obywatela Barana". A więc akt nie ma, ale są przecież tam ludzie, którzy wiedzą o nim wiele, wszystko, ale czy osoba odpisująca na nasze pismo miała obowiązek chodzić po gminie i rozpytywać ludzi, czy wiedzą coś o obywatelu nazwiskiem Baran? Nie, nie ma takiego obowiązku, wystarczy, że nie ma akt, ale czy rzeczywiście ich nie ma? Wówczas, gdy nasze pismo nadeszło? Bo teraz — byłem o tym przekonany — na pewno ich już nie ma. Czy nie ma w urzędzie gminnym sprzymierzeńca mordercy Barana? Odprawiłem Rychwała i zwołałem natychmiast egzekutywę. Zreferowałem towarzyszom przebieg rozmowy i doszliśmy do zgodnego wniosku, że sprawę Barana należy szybko załatwić, natychmiast, jednakże przy formułowaniu oskarżenia towarzyszka Jadzia zapytała, czy aby posiadane przez nas dowody są wystarczające. Przecież poza wynurzeniem szwagra Barana, Rychwała, my właściwie żadnych dowodów nie mamy. Czy nie śpieszymy się zbytnio, stawiając przed organizacją partyjną sprawę niedostatecznie przygotowaną? Trzeba Barana obserwować, należy zasięgnąć informacji pewnych i bezspornych, nie od rodziny, najlepiej przez komitet wojewódzki. Niech się tą sprawą zainteresuje komitet miejski i przekaże ją dalej. Towarzysze mówili: nie wolno nam trzymać w partii człowieka karanego za bandytyzm, to jasne, ale co możemy, co musimy natychmiast zrobić, to odwołać Barana ze stanowiska komendanta straży pożarnej. Niech przejdzie do ekipy strażackiej, niech tam czeka, aż się sprawa wyjaśni. Towarzysze rozumowali słusznie: jeśli go usuniemy z pracy, to tym samym naprowadzimy go na trop osoby, która nam opowiedziała o jego przeszłości. Tą osobą może być tylko jego szwagier, Rychwał, ale jego nie wolno nam narażać, bo czy wiadomo, do czego Baran jest zdolny?

— A zdolny był! To kuta bestia! Gdy komenda wojewódzka straży pożarnej skierowała do nas człowieka, który miał objąć funkcję komendanta, poleciłem Baranowi jako byłemu komendantowi, aby nowoprzybyłego oprowadził po zakładzie i pokazał urządzenia przeciwpożarowe, i tu znów popełniłem błąd. Wiedziałem o nim dostatecznie dużo, aby mu nie zostawić swobody ruchów, a mimo to puściłem go samego, bez asysty, z nowo przybyłym na fabrykę, lecz po kilku minutach Grabiec — tak nazywał się skierowany do nas — przybiegł do mego gabinetu zadyszany i wzburzony. Oświadczył, że nie obejmie u nas stanowiska komendanta. Zapytałem: dlaczego?

— Przecież u was nie ma ani węży ani instalacji, ani gaśnic ani piasku, dopływ wody nie jest w porządku, na magazynach macie drzewo! Nie, ani przez chwilę tu nie zostanę.

Podnosząc ręce na wysokość głowy rozłożył je i niemal krzyczał:

— Tylą głowę mam po tej inspekcji. Jeżeli obejmę funkcję i za godzinę wybuchnie u was pożar, to mogę kiwać tylko palcem w bucie.

— Anim się spostrzegł, jak mnie zostawił oszołomionego, zarówno tym nagłym wybuchem, jak i stwierdzeniem fatalnego stanu urządzeń przeciwpożarowych. A przecież znałem je, wiedziałem, że wszystko jest w porządku, zgodne z przepisami i zarządzeniami. Sam wszystkiego dopilnowałem. Pamiętam, jakie dwa lata temu, gdy pierwsza inspekcja stwierdziła braki, komendant straży wojewódzkiej, stary towarzysz, powiedział, mi: „kiedyś Skalak chodził do więzienia za komunizm ,a teraz, przy takim stanie urządzeń, pójdzie za władzy ludowej do więzienia za pożar w państwowej fabryce". Mocno mnie to ubodło, oj mocno, ale szybko zakrzątnąłem się i zrobiłem wszystko, wszystko co było możliwe, wytrząsnąłem kredyty, sam wszystkiego doglądałem. Zapamiętałem nawet nauczkę tego towarzysza: „pożaru szukaj na górze, nie na ziemi", że to niby ziemia zapalić się nie może, a dach zawsze.

— Wybiegłem poszukać Barana. Odnalazłem go przy piecu hutniczym. Rozmawiał z majstrem, jakby się nic nie stało.

— Baran, co jest z naszymi urządzeniami przeciwpożarowymi?

Udawał zdziwionego:

— Jak to, co? Wszystko w najlepszym porządku.

— Czemu więc ten Grabiec powiedział, że u nas wszystko jest do luftu?

Baran wzruszył ramionami:

— A bo ja wiem?

Połączyłem się telefonicznie z wojewódzką komendą straży, żądając wyjaśnień. Odpowiedzieli mi, że wyjaśnią i zadzwonią. Zanotowali nazwę naszego zakładu, ja zaś zapisałem nazwisko człowieka, z którym mówiłem. W sprawach ognia trzeba być ostrożnym. Człowiek, który odbierał telefon, nazywał się Gola. Dręczyło mnie jedno pytanie: dlaczego Baran przepędził tego Grabca? Dlaczego uczynił wszystko, aby go przestraszyć, i to tak dalece, że nie pozwolił sobie nawet wyjaśnić faktycznego stanu rzeczy? Do czego Baran zmierzał? Myślałem nad tą sprawą bardzo długo, lecz nie mogłem znaleźć żadnego wyjaśnienia. Jedno było jednak dla mnie jasne: nie chciał ustąpić ze stanowiska. Wiedział, jak długo nikt nie zostanie komendantem straży, tak długo on nim będzie, bo przecież ktoś musi kierować ekipą. Pozostawał tylko on, bo — nie pamiętam, czy wam już powiedziałem, że przeszedł swego czasu trzymiesięczne przeszkolenie. Inni ludzie tego przeszkolenia nie mieli. Widzicie, tu się kryje jeszcze jedno zagadnienie kadr, które musimy rozwinąć i rozprowadzić w terenie, każdy na swoim terenie odpowiednio do specyficznych warunków każdego zakładu. To olbrzymie zagadnienie, sprawa kadr, i dobrze się stało, że czwarte plenum postawiło je w całej ostrości. Pomyślcie, kiedyś, jeszcze przed trzecim plenum, posłaliśmy na szkolenie bandytę, a czy wam się wydaje, że tylko u nas tak było? I z tym jednym przeszkolonym człowiekiem czekaliśmy spokojnie na wykonanie planu, na budowę socjalizmu, a teraz, gdy się okazało, że to szkodnik, tośmy nawet nie mieli kim go zastąpić! Oczywiście nie szkodnictwo zmusza nas do powiększania kadr, to byłoby śmieszne, ale na naszym terenie było właśnie tak, że jedyny wyszkolony człowiek był naszym przeciwnikiem!

— Po dwóch dniach przybył nowy komendant, niejaki Marzec, ale z nim to już ja wyszedłem na fabrykę. Asystował nam Baran, nie było powodu, aby go nie dopuścić do kontroli urządzeń. Marzec kręcił nosem: a to mu się to nie podobało, a to tamto nie było w porządku. W magazynie, który był kryty dachem a ściany miał osłonięte ze wszystkich stron, by drzewo na beczki leżące tam prędzej schło, Marzec znalazł, że korytarze między klepkami służące nam na beczki są za wąskie, że to niby nie pozwalają na swobodne przechodzenie między drzewem, co w razie pożaru niemożliwi akcję ratowniczą. Wreszcie machnął ręką i zadecydował:

— Usunąć natychmiast drzewo!

Zapytałem spokojnie:

— Jak to? Klepki usunąć? Przecież one nam potrzebne do zbijania beczek na biel? Jak pan to sobie wyobraża?

— To mnie nic nie obchodzi!

— Ale mnie to obchodzi! To przecież nasze opakowanie!

— To przynajmniej wyrzucić z szopy i ustawić na placu!

Tutaj i ja podniosłem głos:

— Tego nie zrobię. Drzewo zmoknie na deszczu, a potem nie zbijemy z niego beczek. Drzewo popęka, biel nasiąknie wilgocią. To drzewo jest warte ciężkie miliony!

— To ja nie obejmę służby.

Wściekły podszedłem bliżej i trzymając go za klapę marynarki krzyknąłem mu prosto w twarz:

— Słuchaj pan. Tego mi za wiele. Wyście się tu z kimś zmówili. Tu już była wojewódzka komisja. Kazała mi usunąć piec z pobliskiego magazynu — usunęliśmy. Kazała zabić blachą okna tego magazynu — zabiliśmy. Kazali ustawić więcej skrzynek z piachem — ustawiliśmy! Jest piach? Jest! Kazali trzymać więcej wody w pogotowiu — baseny są napełnione wodą? Są! Węże są? Są! Trzy węże różnej długości. Gaśnice są? Są! Zakupiliśmy jeszcze kilka i wiszą w fabryce, przy piecu, na halach, w pobliżu worków. Krzyczałem, ciągle krzyczałem i słyszałem własny głos. Kazali przeciąć instalację elektryczną tam gdzie niepotrzebna, i odcięliśmy, patrz pan — wskazywałem mu podłużny biały ślad po rurkach, które kiedyś biegły wzdłuż muru — potem komisja podokręgu 2 EOG, technik i monter uznali, żeśmy to zrobili prawidłowo. Kazali zainstalować nowe syreny i zainstalowaliśmy — niech je pan wypróbuje. A remizę na sprzęt wybudujemy, gdy dostaniemy kredyty, teraz sprzęt leży tu obok, w skrzyni, ot, tu, patrz pan.

— Czułem, że się dławię, wykrzyczałem mu wszystko jednym tchem i o mało nie chwyciłem go za łeb, by go wepchnąć w kąt, aby widział wszystko dobrze.

— Marzec został, jednakże ja nie miałem już spokoju. Myślałem: co się dzieje u licha? Skąd ta zmowa, skąd się bierze wrogość tych ludzi, którzy mają objąć stanowisko, z którego usunęliśmy Barana? Skąd wiedzą z góry niejako, bez sprawdzenia, z czym mają przyjść na fabrykę? Poszedłem dalej: kto spośród załogi wie, kogo przyślą z wojewódzkiego urzędu na nasz zakład, aby go tak nastawić, by wszystko znalazł nie w należytym porządku? Czyżby Baran sam urabiał tak tych ludzi? To było nieprawdopodobne. Od czasu, jak odwołaliśmy go ze stanowiska komendanta, Baran już nie jeździł na odprawy ani po instrukcje. Niewątpliwie miał tam znajomych z okresu urzędowania, ale teraz chyba się z nimi już nie stykał. W każdym razie urzędowo z nimi się już nie spotykał.

— Również i to wyszło, ale nieco później i nie moja w tym zasługa. Zobaczycie zaraz, do czego prowadzi fakt izolowania wroga i jakie to daje skutki. Odbywała się narada wytwórcza. Rozpoczęliśmy ją, jak zwykle, od kontroli wykonania powziętych przed miesiącem uchwał, po czym miała nastąpić dyskusja na temat ewentualnych dalszych ulepszeń, jednakże nastrój w świetlicy był jakiś dziwny, powiedziałbym, obcy, inny niż zazwyczaj. Ludzie byli milczący, chmurni, jakby niedostępni. Z początku wydawało mi się, że się mylę, ale po odczytaniu protokułu czułem już wyraźnie ,że ludzie nie myślą o naradzie. Przez salę przebiegały jakieś szmery, które nagle milkły, jakby je tłamsiła czyjaś niewidzialna ręka, aby nagle znów wybuchnąć to tu, to tam. Wiodłem po zebranych badawczym wzrokiem: chciałem ich przejrzeć, przeniknąć. Narada nie była mocno obstawiona: dzienna zmiana była na zakładzie, przyszli tylko ci, co ukończyli robotę o 14-ej oraz kilku z nocnej zmiany, mianowicie ci, którzy mieszkali w pobliżu. Musicie wiedzieć, że przy naszym cyklu produkcyjnym trudno zebrać naraz wszystkich robotników. Barana również nie było, miał właśnie służbę. O głos poprosił Ziejewski, bezpartyjny, ale skoro mówię „bezpartyjny", to nie sądźcie, że go uważałem za apolitycznego. On był bezpartyjnym w stosunku do nas, ale w stosunku do nich był partyjny. Na naszą ocenę był nieuświadomiony, na ich ocenę, w kierunku szkodzenia nam, był wysoce uświadomiony. Człowiek ten przemawiał rzadko i obecnie oczy wszystkich zwróciły się ku niemu. Zaczął od razu głosem nadspodziewanie podniesionym. Widziałem, że był wewnętrznie wzburzony. Poznałem to po jego oczach i żyłach, które mu wystąpiły na czoło:

— My tu mówimy tak często o demokracji, tymczasem dyrekcja postępuje z ludźmi gorzej aniżeli przed wojną. Tu się ludźmi pomiata jak psami, że aż wstyd. Nawet za czasów sanacji tak nie było.

— Z sali padło kilka głosów:

— Odebrać mu głos, on nie mówi o sprawach, które stoją na porządku dziennym, cóż on sobie myśli! O racjonalizatorstwie mówcie, o oszczędności!

Ziejewski już siedział. Już powiedział wszystko. Zrobił swoje. Wszelkie napominanie, by mówił do rzeczy, było bezcelowe.

— Poprosiłem przewodniczącego o głos i zapytałem Ziejewskiego:

— Wyście tu postawili zarzuty dyrekcji, bardzo ciężkie zarzuty, gadajcie, kto kim pomiata? Mówcie, ale zaraz, wszystkim tu mówcie.

— Mam mówić? Chcecie, żebym mówił, to ja powiem: Z Baranem jak postąpiliście? To nawet wasz towarzysz partyjny, i to wstyd, że ja bezpartyjny muszę go bronić przed dyrektorem, który jest członkiem tej samej partii co Baran. Dlaczego ni stąd, ni zowąd usuwacie go ze stanowiska i wprowadzacie nowych ludzi na jego miejsce na siłę? Oni tu nie chcą pracować, a wy ich za łeb trzymacie, byleby utrącić naszego kolegę.

Uderzenie było mocne. Trudno mi powiedzieć, ilu z pośród zebranych brało stronę Ziejewskiego, ale ilu by ich było, dziesięciu czy dwóch, obojętne, to wiedziałem, że ten atak trzeba odeprzeć z całą mocą. Tym bardziej, że godził już nie we mnie. Ziejewski atakował partię, szargał jej imię, i pojąłem, że wszystkie rozgrywki nie we mnie mierzyły — mierzyły w partię, w jej autorytet. Postanowiłem działać szybko i zdecydowanie. Musiałem wyodrębnić wroga, ukazać go w pełnym świetle, by stanął tu przed tymi ludźmi osamotniony, ale groźny zarazem w swojej zbójeckiej postaci. Jeszcze przez chwilę pamiętałem o tym, że ujawnienie prawdy o Baranie pogrzebie zarazem Rychwała, szwagra Barana, ale co mi tam Rychwał, skoro imie partii zostało wystawione na szwank?

— To o Barana wam chodzi? O jego krzywdę?

Starałem się zabarwić ironia słowo „krzywda", ale nie wiem, czy Ziejewski to spostrzegł.

— Tak, właśnie o Barana mi chodzi, o jego krzywdę.

— Więc powiem wam. Baran jest mordercą, który przed wojną przesiedział siedem lat w więzieniu .

Cisza wyrosła jak mur. Wiodłem wzrokiem po tych twarzach, po oczach rozwartych nagle, i czytałem w nich treść okropnie jasną. Ho, ho to była okrutna wiedza.

Ale wróg jeszcze nie ustępował. Znów ruszył:

— To co, to za to, że ktoś siedział w sanacyjnym więzieniu, to my go mamy dziś w czasach demokracji potępiać?

— Ziejewski, czy wy naprawdę nie rozumiecie, że Baran siedział w więzieniu nie za walkę z faszyzmem o sprawę ludu, tylko za morderstwo? Za mord rabunkowy? Czy wam to nie wystarczy?

— A kogo zamordował?

— Księdza.

— Też mi! To za zabójstwo księdza przed wojną mamy w czasach demokracji potępiać człowieka? Dosyć, że go sądził sanacyjny sąd.

Nie mogę wam dziś już opowiedzieć, ile mnie wysiłku kosztowało opanowanie nerwów. Musiałem być blady, czułem jak pot zalewa mi oczy. Miałem przed sobą wroga, który nie przebierał w środkach, każdy argument był dla niego dobry, nie ustępował, a przecież bój toczył się obecnie już nie między mną a moim przeciwnikiem, tylko o rzecz ważniejszą, większą, o naszą klasową, rewolucyjną ideologię. I o ludzi zebranych w świetlicy.

Oparłem się o ścianę, byłem zmęczony.

— Ja wiem, skąd się bierze to wasze nagadanie, ono wynika z wrogości do naszej klasy, do klasy robotniczej, i ono wynika z waszej ciemnoty. Wy się nie ciskajcie, ja wam jeszcze tu niejedno wygarnę. Myśmy się zawsze odgradzali od morderców i rabusiów, bo oni nam przeszkadzali. To oni, jako najciemniejszy element i narzędzie burżuazji, chcieli prowadzić ruch robotniczy na manowce, bo zamiast walki klasowej widzieli tylko krwawą rozprawę dla własnej, osobistej korzyści, ale to nie miało nic wspólnego ze zmianą położenia klasy. Ale mysmy się odgradzali nie tylko od rabusiów. myśmy zawsze potępiali terror indywidualny, nawet jeśli ten terror miał podłoże ideowe, ponieważ nie przez usuwanie jednostek dążyliśmy do wyzwolenia społecznego. Jeżeli wy, Ziejewski, pochwalacie mord — wskazywałem go zebranym palcem — to stajecie w jednym rzędzie z mordercą, i to z jakim! Z takim, który zabija przy grabieży.

Ludzie nie spuszczali ze mnie oczu, zapalałem się coraz bardziej: słyszałem szmer i wyłowiłem kilka słów wypowiedzianych półgłosem. To brzmiało jak przyzwolenie i potwierdzenie, jakieś „tak, tak" mieszało się z głośnym — „ma rację".

— Ja wiem, co wyście tu chcieli powiedzieć, o ja was dobrze rozumiem, wy nawet nie wiecie, Ziejewski, jak dobrze was rozumiem, ale to wam się nie uda! Nie uda się! Wy chcecie tu wygrywać nieświadomość ludzi i zyskać ich dla swojej ciemnej sprawy, ale powtarzam: to wam się nie uda! Dlaczego Baran zamordował księdza? Żeby mieć pieniądze na wódkę i kochanki, a wy chcecie, żeby nasza partia, partia robotników robiła z niego męczennika? Wy chcecie nam wmówić, że w walce o postęp, o socjalizm my powinniśmy pochwalać tych, co mordowali księży? To wy nie wiecie, kto mordował księży? Naprawdę nie wiecie?

Jeszczem nie widział takich twarzy, jak wówczas, gdy biłem w tego ciemnego człowieka mocą naszego przekonania i naszej teorii walki klasowej. Już ludzie nic nie mówili, bo czy potrzebne są słowa tam, gdzie słuszność naszej sprawy raz jeszcze odnosiła triumf?

— Katolicki Franco mordował księży! Hitler powołujący się na błogosławieństwo Boga mordował księży-Polaków! a wy chcecie, aby proletariacka partia biła się o honor bandyty, który zamordował księdza?

— A któż to na tej sali pochwala mord, dokonany na księdzu? Ziejewski! Ten, który co niedzielę chodzi do kościoła i modli się żarliwie, i pytam was — jak Ziejewski może to pogodzić? Pochwala bandytę, ale myśmy nie słyszeli, żeby potępiał faszystę Franco, który nic innego nie robił, bo Ziejewskiemu się wydaje, że my nie znamy historii, że my nie pamiętamy, co 5 lat temu się działo na ziemiach polskich, że myśmy już zapomnieli Oświęcim i Dachau. Ziejewskiemu się wydaje, że my nie mamy zrozumienia dla cierpienia ludzkiego, ale on nie wie, że nasze państwo ludowe z czcią się odnosi do kapłanów, którzy walczyli z okupantem i wysoko dźwigają sztandar patriotyzmu, pomagając nam w skupianiu ludzi wokół odbudowy naszego kraju i w walce o pokój. Ja wam powiem, skąd ta zgoda między Ziejewskim a mordercą katolickiego kapłana: stąd, że łączy ich wrogość do klasy robotniczej. Z nienawiści Barana i ciemnoty Ziejewskiego ta zgoda, nienawiść i ciemnota podały sobie ręce!

— Wy tu mówicie o krzywdzie Barana, a wiecie, dlaczego odszedł od nas Rychwał? Bo go Baran wygryzł, nie chciał tu mieć świadka który o nim wiedział wszystko, i o krzywdę Rychwała Ziejewski się nie upominał!

Nic tak nie przekonywa ludzi do słuszności wywodów, jak przykład wzięty z najbliższego otoczenia, a fakt z Rychwałem, przypomniany w porę, postawił od nowa przed zebranymi ich cały, rzekomo rodzinny spór. Powiem więcej: Baran w walce z nami nie był odosobniony. Nie tylko Ziejewski w niejednym mu pomagał. Ja twierdzę, Ziejewski, że to wy sprawiliście, że jeden komendant straży, który miał zastąpić Barana, zwiał stąd, ponieważ Baran zastraszył go brakiem urządzeń przeciwpożarowych, a drugiego toście tak nakręcili, że wszędzie widział tylko braki i karygodne zaniedbania. Przyznajcie się, Ziejewski, kogo wy macie w wojewódzkiej straży pożarnej? Powiedzcie: macie tam kogoś czy nie macie? Bo skąd tam wiedzieli, jak nastawiać ludzi, którzy mieli u nas objąć stanowisko komendanta, z którego usunęliśmy Barana?

Zamiast Ziejewskiego odpowiedział szmelcerz Wawro:

— A to ci cholera, pewnie, że ma. Przecież tam siedzi jego brataniec!

Zapytałem:

— Gola?

— No pewnie, że Gola!

Skalak przeszedł się po pokoju. Wiodłem za nim wzrokiem i gdy nasze oczy się spotkały, uśmiechnął się.

— Zwołaliśmy w dwa czy trzy dni później zebranie podstawowej organizacji partyjnej, przed którą egzekutywa postawiła sprawę wykluczenia Barana z partii. Uchwałę przyjęto jednomyślnie. To było chyba najkrótsze nasze zebranie. Moje przemówienie sprzed kilku dni rozgrzało atmosferę, podniosło ducha bojowego. Ale sprawa Barana jeszcze istniała, wlokła się za mną jak cień. Jeszcze jakie dwa miesiące przed wykluczeniem z partii wypłynęła kwestia, nie jedna, nawet dwie, obie przygotowane przez Barana jeszcze wówczas gdy był w naszej partii, ale obie dopiekły mi jeszcze bardziej niż sprawa tego mordu sprzed wojny. Ale czy chcecie jeszcze słuchać? Już chyba nie pójdziecie spać, minęła już trzecia, a za jakie 2 godziny zaczną czyszczenie. Chcecie zostać? Spójrzcie, zaczyna już świtać.

Istotnie za oknem, jakby na szybie, a nie wysoko na niebie ukazywała się poświata o barwie lekkiego fioletu. Pomyślałem: jak szybko przegadaliśmy tę noc!

— Oczywiście, nie pójdę już spać. Prześpię się do południa, mówcie dalej, towarzyszu Skalak.

— Miałem kiedyś — pomyślał chwilę — chyba pół roku temu, taki wypadek. Brat jednej z pracownic biurowych, wiecie, ta Maciejewska z rachuby, żenił się. Ślub miał się odbyć w niedzielę, zaś w południe miało się w domu tej Maciejewskiej odbyć — tak mówiła — skromne przyjęcie, na które mnie zaprasza. Oczywiście, nie poszedłem. Pomyślałem sobie tak: zaprasza mnie tylko z racji mego stanowiska, ale stanowisko to otrzymałem od partii — czy jest więc powód, abym zaufanie partii obnosił po prywatnych mieszkaniach? Słusznie — czy nie?

Przytaknąłem milcząco.

— Nie poszedłem więc. Ale w poniedziałek, gdzieś koło południa, zjawia się u mnie Maciejewska i powiada, że przyniosła mały poczęstunek dla swoich koleżanek i kolegów w biurze i prosi, abym i ja do nich wpadł.

Zapytałem:

— Jak to pani sobie wyobraża? W biurze będzie pani urządzała przyjęcia?

Odrzekła:

— Panie dyrektorze, przecież to nie żadne przyjęcie, tylko poczęstunek, a po godzinach urzędowania wolno chyba?

— Nie wolno. W biurze się pracuje. Po godzinach urzędowania nie macie nic do szukania na terenie fabryki.

Nie wiem, czy się obraziła, wiecie, nie umiem gadać z kobietami. A właściwie umiem gadać z kobietami, ale z naszymi. Widocznie jednak Maciejewska nie obraziła się, bo powiedziała: mieszkanie mam ciasne, nie mogę zapraszać dwudziestu kilku ludzi, ja bardzo proszę, to przecież nie żadne pijaństwo. Przyniosłam trochę ciastek, butelkę wina i pół litra wódki dla mężczyzn.

— No więc, dobrze, ale urządzicie to po piętnastej.

— Dobrze, panie dyrektorze.

— Gdzieś o piętnastej trzydzieści, już nawet nie pamiętałem o tym, zjawia się „delegacja" i proszą, abym do nich wszedł na piętro. Czy mogłem odmówić? Poszedłem na górę, ludzie już czekali, księgi były pochowane, kasy pozamykane. Poczęstunek był istotnie skromny, ujrzałem jedną butelkę wina, tuż obok pół litra wódki, trochę ciasta. Wypiliśmy, wiecie, że nie pijam alkoholu, nalałem sobie kieliszek wina, złożyłem powinszowania i ludzie się rozeszli. To wszystko trwało — czy ja wiem? może dziesięć, może piętnaście minut. Potem wróciłem do pracy. Nigdy nie wychodzę przed siódmą, ósmą wieczorem.

— Jakieś dwa miesiące później odbywała się w komitecie miejskim odprawa dyrektorów zakładów położonych w naszym mieście i tam, ku memu przerażeniu, wypłynęła sprawa mojego pijaństwa. Rozumiecie? Sprawa pijaństwa! Ktoś doniósł partii, że na zakładzie odbyło się przyjęcie u urzędników i ja dyrektor, popijałem wódkę. I to kiedy? W czasie godzin urzędowania!

— A więc ja, stary robociarz, który w 1907 roku po raz pierwszy poszedłem na wysyłkę, ja, SDKPL-owiec, który się stykał z towarzyszem Marchlewskim, komunista, który przesiedział 5 lat w więzieniu za czasów sanacji, ja staję przed partią pod zarzutem pijaństwa! Nigdy mnie taki zarzut nie spotkał jeszcze. Takiego nieszczęścia w swoim życiu nie miałem.

— Mówiłem o tym szczerze towarzyszom, byłem bliski płaczu i wyjaśniłem, jak się sprawa przedstawia. Przyznałem, że istotnie popełniłem błąd: dla ludzi urzędowanie się skończyło, ale ja przecież nie kończyłem jeszcze pracy!

— W egzekutywie komitetu miejskiego siedzą towarzysze, którzy mnie znają, znają moje wady i błędy, ale wiedzieli, że pijakiem nie jestem i nigdy nie byłem. Zdawało mi się, że sprawa już jest zakończona, i zażądałem podania nazwiska towarzysza, który opowiedział w komitecie miejskim historię tego rzekomego pijaństwa.

— A po co to wam towarzyszu?

— Jak to po co? Po to, żeby pociągnąć tego towarzysza do odpowiedzialności partyjnej.

— A niby za co? Za to, że powiadomił partię o nieporządkach panujących na waszym zakładzie?

Szukałem pomocy u zebranych, ale nie wiedziałem, co o mnie myślą.

— Nie, towarzyszu sekretarzu, nie za to, ale za to, że tej sprawy, która się rozegrała u nas dwa miesiące temu, o ile uważał ją za godną poruszenia, nie postawił przed organizacją partyjną na naszej fabryce! Za to towarzysze, że ta sprawa obchodzi wszystkich zatrudnionych u nas, partyjnych i bezpartyjnych, i nasza podstawowa organizacja powinna ją rozpatrzyć. Zwracam wam uwagę, towarzyszu sekretarzu, że jeżeli nie po-

dacie nazwiska tego towarzysza, to będzie znaczyło, że uniemożliwiacie zdrową, szczerą, partyjną krytykę. Bo powiedzcie mi, dlaczego ludzie u nas mają o tym mówić po kątach, a widać mówią, bo to nawet do was dotarło, czemu więc nie mają o tym mówić publicznie, otwarcie, aby mnie skrytykować, a jeśli trzeba, uderzyć? Wy wiecie, jaką wagę kierownictwo naszej partii przywiązuje do krytyki i samokrytyki, a wy ją dusicie, jeżeli nie chcecie tej sprawy przenieść na nasz teren. Bo tam wydarzył się ten wypadek. Zapewniam was, że ja tę sprawę postawię przed naszą organizacją, i to w obecności przedstawicieli komitetu miejskiego!

— Dobrze, to ja wam powiem. Mówił nam o tym towarzysz Baran, ale nam mówił jeszcze o innych waszych sprawach.

— O jakich? Gadajcie!

— Spokojnie, towarzyszu, spokojnie. Pomówimy o wszystkim.

Pogrzebał w papierach leżących na stole, wyciągnął jakąś notatkę i czytał:

— Towarzysz dyrektor Skalak wywozi z fabryki koks, węgiel, wysyła niewiadomo dokąd konie fabryczne, daje komuś auto fabryczne, wywoził cement i walcówkę. I wtedy pojąłem:

Baran toczył przeciwko mnie walkę przy pomocy partii, z której mieliśmy go usunąć. Wydawało mu się, że można podstępnie zdobyć jej zaufanie i wygrywać ją przeciwko ludziom oddanym sprawie robotniczej. Poniosło mnie:

— Słuchajcie, towarzysze. Ja wam wytłumaczę wszystko, wszystko od początku do końca, ja wam odpowiem na wszystkie zarzuty, ale domagam się jednego: sprowadźcie tu natychmiast towarzysza Barana. Ja zgłaszam dwa wnioski i proszę poddać je pod głosowanie. Jeden wniosek: sprowadzić natychmiast towarzysza Barana, drugi: jutro odbędzie się u nas zebranie podstawowej organizacji partyjnej i komitet miejski zobowiązuje się wydelegować na to zebranie swoich przedstawicieli. Proszę towarzysza sekretarza o poddanie obu wniosków pod głosowanie.

— Wnioski przyjęto, zarządzono przerwę i samochód komitetu miejskiego pojechał po Barana. Gdy się zjawił, rozpoczęto ponownie obrady.

Poprosiłem o głos:

— Sprawę tego rzekomego pijaństwa już wam wyjaśniłem, więc teraz przejdę do innych zarzutów postawionych mi przez towarzysza Barana. Przeczytajcie je jeszcze raz. Sekretarz odczytał notatkę.

— Sprawa koksu: czy jest tu ktoś z komitetu powiatowego? Towarzysz Krzyczkowski, jesteście, dobrze. Dzwoniliście do nas w styczniu, że zabrakło wam koksu do centralnego ogrzewania domu, w którym się mieści komitet powiatowy? Mówiliście, że rury pękną, jeżeli nie podpalicie pieca, i że chcecie sobie pożyczyć dwie tony koksu?

— Mówiłem.

— I dostaliście te dwie tony?

— Dostaliśmy.

— A oddaliście ten koks?

— Oddaliśmy.

— To dobrze, jedźmy dalej. Węgiel: towarzyszu Baran, powiedzcie towarzyszom, jak my rozdzielamy węgiel naszym robotnikom. Opowiedzcie.

Baran wstał, był blady, ręce mu drżały.

— Węgiel my tak rozwozimy. Na bocznicę zajeżdżają wagony z węglem, potem ważymy każdemu robotnikowi jego przydział, który potem ładujemy na furę, albo auto ciężarowe, i rozwozi się do domu, każdemu za opłatą.

— A czy my zamawiamy więcej węgla aniżeli nam trzeba do rozdziału?

— Nie.

— A dlaczego nie?

— Nie wiem.

— No, zastanówcie się, czy nam w ogóle potrzebny węgiel, na przykład do opalania albo do produkcji?

— Nie, nie potrzebny.

— Ale dlaczego, powiedzcie, dlaczego nam węgiel nie potrzebny.

— Bo do centralnego ogrzewania budynku potrzebny koks, a do produkcji też koks tylko potrzebny, ale grubszy.

— Czy zostaje zatem u nas zbędny węgiel po rozwiezieniu przydziałów?

— No, nie.

— No, to skąd wzięliście to, że ja wywożę dla kogoś węgiel?

Baran milczał.

— Idźmy dalej. Rzekomo wywoziłem cement i walcówkę, tak? Ja się zwracam do towarzysza sekretarza komitetu miejskiego z zapytaniem. Powiedzcie, kiedyście budowali garaż pod samochód komitetu, pożyczyliście u nas dziesięć worków cementu i kilkanaście, już nie pamiętam dokładnie ile, ale kilkanaście kilo walcówki?

— Pożyczałem.

— A oddaliście?

— Oddaliśmy.

— Jeżeli tak, to ja już nie mam nic do powiedzenia. Chciałem wam tylko przypomnieć, że jutro o piętnastej będzie u nas zebranie podstawowej organizacji partyjnej i zgodnie z przyjętą tu uchwałą przyślecie kogoś z egzekutywy.

— Barana samochód odstawił na fabrykę - poprosiłem ponownie o głos:

— Proszę towarzyszy, jak to sobie wyobrażacie? Jeżeli dzwoni do mnie towarzysz sekretarz i prosi o samochód, bo musi natychmiast jechać do komitetu wojewódzkiego w Katowicach, a jego samochód jest wówczas w terenie — czy ja mam wtedy zwoływać załogę albo organizację partyjną, by zakomunikować, że daję towarzyszowi sekretarzowi samochód na dwie albo trzy godziny? Albo: jeżeli komitet powiatowy pożycza sobie u nas dwie tony koksu, to czy nie wystarczy, że wie o tym przedstawiciel rady zakładowej i pierwszy sekretarz naszej egzekutywy? Jak to sobie wyobrażacie inaczej? To partia może mi powierzyć kierownictwo dużym zakładem pracy, a nie może mi zawierzyć w gospodarce samochodem osobowym lub dwiema tonami koksu, które pożyczam władzy partyjnej? Czy możecie towarzysze, czy jesteście w stanie wyznaczyć mi granicę, gdzie się kończą obowiązki dyrektora a zaczynają obowiązki członka partii? Czy możecie — ja pytam — to zrobić? Albo powiedzcie mi co innego: gdzie się kończą obowiązki członka partii a zaczynają obowiązki dyrektora fabryki? Nie ma takiej granicy i być jej — w moim pojęciu — nie może wówczas, gdy się całe doświadczenie życiowe, całą wolę, wszystkie siły oddaje sprawie budowania podstaw socjalizmu w Polsce. Jednego tylko nam pilnować: krytyki, towarzysze, krytyki, jawnego mówienia o błędach i bolączkach, o brakach i niedociągnięciach, otwartego omawiania wszystkiego co się dzieje na zakładzie.

— Następnego dnia udzieliliśmy Baranowi na zebraniu podstawowej organizacji partyjnej surowej nagany. W dwa miesiące później po awanturze z Ziejewskim usunęliśmy go z partii.

Skalak powstał. Podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Ja także wstałem. Niebo było czyste, widne, majowe. Biel leżąca na dachach zabudowań miała wygląd szronu. O szybę uderzała gałązka bzu, przekwitłego już, czarnego niemal.

— Kładą ostatni cynk, zaraz będą wypalać, trzeba pójść do czyszczenia.

Ziewnąłem, byłem zmęczony, dopiero teraz odczułem kłujący ból w plecach. Obliczyłem pośpiesznie: kończył się mój czternastogodzinny dzień pracy.

Zapytałem:

— A jak jest właściwie z Baranem?

— Skalak odwrócił się:

— Przecież widzieliście go, pracuje, jest w straży pożarnej.

Zdziwiony dodałem:

— I po tym wszystkim on u was jeszcze siedzi?

— Oczywiście!

— Po tym wszystkim co tu nabroił?

— A wy co byście chcieli, żeby poszedł stąd?

— No, jasne. Chyba i dla was to jasne.

— Jasne, powiadacie? Wiecie, ja się wam bardzo dziwię. A co on ma robić? dokąd ma pójść? Z czego ma żyć?

— Niech idzie na inną fabrykę.

— A po co? Żeby znów gdzie indziej zaczął swoją wichrzycielską robotę? Żeby znów na nowym terenie, gdzie go jeszcze nie znają, zaczął od nowa działać? Gdzie znów może pozyskać ludzi mało uświadomionych? Tak to rozumiecie?

Przerwałem mu:

— Ale te kłopoty...

Nie pozwolił mi dokończyć zdania:

— To wy chcecie, żeby teraz kto inny brał na siebie te kłopoty? Już ja go znam, już ja go obserwuję, już on się mnie nie wymknie! Pewnie, że to kłopot, nie jedyny zresztą. Robotnik na stanowisku dyrektora stale ma kłopoty. Taka jest między innymi różnica między dyrektorem kapitalistycznym a robotniczym. Pomyślcie tylko, jakie kłopoty miał kapitalistyczny dyrektor z ludźmi? Żadnych! Nie podobał mu się robotnik, to go wywalał na pysk, jeżeli mu kto wiernie służył, to go mianował swoim szpiclem, psem gończym, a jak kto się stawiał, to go posyłał do więzienia, a dziś? Musimy sobie wychować ludzi, musimy wyjaśniać, stale i wciąż wyjaśniać. Tłumaczyć, cierpliwie, codziennie. Wiecie, że gość siedział w więzieniu za morderstwo, ale też wiecie, że go do tego pchała ciemnota, nędza, nędza materialna i moralna, i co masz robić z takim człowiekiem? Masz go dalej bić? Wiecznie bić? Ciągle mu wypominać? Pomyślcie tylko: ustrój kapitalistyczny go bił i my też go mamy bić? Wychowywać człowieka, nawet najgorszego, ale wychować go, uświadamiać go, zdobywać go dla naszej sprawy, podnosić, dźwigać go coraz wyżej — czy nie piękne zadanie? Baran przyniósł na naszą fabrykę i do partii całą swoją ciemną przeszłość, ale myśmy go od tej przeszłości odcięli, głównie przez to, żeśmy go usunęli z partii: on musi zrozumieć, że w partii nie może być człowiek, który nie rozumie rewolucji ani ludzi, którzy ją robili i robią.

Ciągnął dalej:

— I nie tylko o czystość innych musicie dbać, ale o swoją własną; i w stosunku do siebie trzeba być równie surowym, inaczej zaraz cię uderzą — i słusznie — że macie podwójną moralność: jedną dla ludzi, drugą dla siebie; ale moralność jest jedna: klasowa, proletariacka.

Spojrzał na zegarek:

— Chodźmy, pewnie zaczynają już czyszczenie.

Dzień już był pełny. Przeszliśmy przez portiernię. Baran siedział na ławce trzymając przed sobą gazetę.

— No, jak tam obywatelu Baran.

— W porządku, obywatelu dyrektorze. Zaraz kończę służbę, dochodzi szósta.

— No, to się prześpijcie. Mamy dziś o piętnastej naradę wytwórczą, pamiętajcie przyjść.

Przemierzyliśmy plac, zmierzając ku hali.

Stanisław Wygodzki

WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI

„Borys Godunow" w Operze Poznańskiej

Obok nowej inscenizacji „Halki" drugim wydarzeniem poznańskiego sezonu operowego było wystawienie „Borysa Godunowa" **Modesta Mussorgskiego.** Wydarzenie to przekracza rozmiary lokalnego sukcesu zasłużonej placówki poznańskiej, stając się pozycją o ogólnopolskim znaczeniu kulturalnym. Składa się na to nie tylko niezwykle staranne przygotowanie zarówno strony muzycznej jak i teatralnej, ale przede wszystkim fakt, że bodaj po raz pierwszy w Polsce pokazano „Borysa" w całości.

Opera Mussorgskiego wystawiana była przed wojną wielokrotnie na scenach polskich, podobnie jak i na scenach całego prawie kulturalnego świata. Pokazywano jednak zawsze tylko 6 obrazów (prolog i cztery akty). Podając wersję oryginalną arcydzieła Mussorgskiego przedstawiono nam trzy jeszcze, nieznane dawniej obrazy. Scenę koronacji (prolog) poprzedza obraz na dziedzińcu klasztornym w Moskwie: starszyzna zmusza lud, aby modlił się na intencję przyjęcia przez Borysa korony carskiej. W trzecim akcie przybywa scena w komnacie na zamku sandomierskim, rozmowa pomiędzy Maryną Mniszchówną a chytrym dyplomatą papieskim, jezuitą Rangoni. Na koniec śmierć Borysa w akcie czwartym poprzedzona jest kapitalnym obrazem w lesie, gdzie zbierają się tłumy wzburzonych, zrewoltowanych chłopów i pod wodzą Dymitra Samozwańca ciągną na płonącą Moskwę.

W ten sposób widowisko urasta do dziewięciu obrazów, trwających z bardzo krótkimi przerwami aż cztery godziny. Mimo to napięcie słuchacza nie tylko nie słabnie ani na chwilę, ale przeciwnie — potęguje się z każdą chwilą. Te trzy obrazy — niezależnie od tego, że wnoszą tyle wspaniałej muzyki Mussorgskiego — przywracają właściwy sens libretta poobcinanego dawniej przez cenzurę carską (stąd zapewne tradycja wystawiania tylko 6 obrazów). Tekst w tej postaci staje się jasny w założeniu i tendencjach. Szekspirowska, pełna tragizmu postać Borysa Godunowa, dominująca w wersji skróconej usuwa się teraz na plan dalszy. Również rola Dymitra Samozwańca staje się jedynie funkcją wielkiego konfliktu historycznego, w którym pierwszoplanową pozycję zajmuje naród. Naród ten — potężny i dynamiczny, choć nie świadomy jeszcze tkwiącej w nim siły, wynosi carów na trony, cierpi pod ich władczym despotyzmem, zrywa się do buntu — jest źródłem siły i słabości władzy carskiej. Ta zasadnicza myśl Puszkina snuje się wyraźnie przez cały przebieg tragedii, najmocniej zaś rysuje się we wspomnianej scenie w lesie pod Moskwą. Lud idzie za Samozwańcem nie wiedząc, że obala on Borysa dla własnych awanturniczych celów. Lud wierzy, że Dymitr wyzwoli ich od pańszczyzny. Tragicznie brzmi w zakończeniu sceny pieśń obłąkanego włóczęgi, biegnąca w ślad za ciągnącym na Moskwę tłumem. Brzmi, jak zapowiedź bolesnego rozczarowania, które ma przeżyć niebawem naród: Borys czy Dymitr — car pozostanie zawsze carem, a lud skazany będzie dalej na nędzę, głód i pognębienie.

Jeśli dramat Puszkina posiada cechy prawdziwej tragedii narodowej, to trudno sobie wyobrazić równie genialny dla niej odpowiednik, jak muzyka Mussorgskiego. Muzyka ta na wskroś narodowa w każdym calu zrośnięta jest z melodyką ludową, a nawet z linią melodyczną rosyjskiego języka. Surowa, oparta o własne, odrębne prawa pieśń rosyjskiego ludu została przez Mussorgskiego przetworzona w sposób głęboko artystyczny, a jednocześnie całkowicie samoistny, niezależny od powszechnie wówczas przyjętego europejskiego języka kompozytorskiego. W sposób, który nie tylko nie zaciera wyjątkowej oryginalności tej muzyki a przeciwnie — potęguje ją do maksimum. Ludowość, „rosyjskość" bije z każdego taktu partytury „Borysa", choć stosunkowo niewiele jest fragmentów, w których pieśń ludowa cytowana by była dosłownie.

To bezkompromisowe poszukiwanie trafnego wyrazu ludowości swego kraju, a co za tym idzie oderwanie się od ustalonych szablonów harmonicznych współczesnej Mussorgskiemu muzyki doprowadziło go do prawdziwego przewrotu w dziedzinie środków kompozytorskich. Swoboda w stosowaniu zasad harmonii tonalnej, ostrość współbrzmień często wyzwolonych z więzów harmonicznego funkcjonalizmu, a traktowanych raczej jako barwne plamy dźwiękowe, śmiałość raptownych przeskoków do odległych od siebie tonacji nie mają sobie równych i wyprzedzają epokę („Borys" powstał w latach 1868 — 1872) o całe dziesięciolecia. Nic też dziwnego, że rewolucyjny, nowatorski styl Mussorgskiego wywarł ogromny wpływ w całej Europie. Wystarczy posłuchać początku drugiej odsłony prologu (koronacja), fragmentu, gdzie poszczególne grupy orkiestralne nakładają się wzajemnie, tworząc

Foto — Jan Kołecki, Poznań

„Borys Godunow" M. Mussorgskiego w Państwowej Operze w Poznaniu. Na zdjęciu scena zbiorowa z prologu

Foto — Jan Kołecki, Poznań

„Borys Godunow" — scena z aktu IV — Przyjazd Dymitra Samozwańca

fantastycznie barwną mozaikę dźwiękową, w którą — jak strumień świeżego powietrza — wdziera się prosty, surowy hymn rosyjski „Sława" — aby odnaleźć wyraźne źródła francuskiego impresjonizmu. Przyznawał to zresztą twórca impresjonizmu — Debussy, który muzykę Mussorgskiego znał i nadzwyczaj cenił.

Jeśli Mussorgski otwarł drogę dla następnych pokoleń — nie tylko dla impresjonistów, którzy przyswoili sobie pewne zewnętrzne cechy stylistyczne, ale przede wszystkim dla kompozytorów współczesnych, wskazując im trafną postawę wobec ludowości w muzyce — to jego dzieło „Borys Godunow" zostało niepowtarzalne w swym nieprawdopodobnym wprost bogactwie inwencji, w swej krystalicznej świeżości, jędrności i soczystości. Wystarczy tu wspomnieć scenę koronacji, pełną prawdziwego nastroju opowieść Pimena w klasztorze, kapitalny taniec rosyjski w karczmie, słynną arię Borysa w drugim akcie, Krakowiak, Mazurek i barwny Polonez z obrazów na zamku sandomierskim, wspaniałe sceny chóralne w lesie pod Moskwą, czy śmierć Borysa — że wymienimy tylko niektóre najbardziej frapujące fragmenty.

Jeśli chodzi o realizację „Borysa" na scenie poznańskiej trzeba stwierdzić, że jest to osiągnięcie wielkiej miary. Muzykę Mussorgskiego dyr. **Walerian Bierdiajew** przygotował od strony zarówno orkiestralnej, jak i wokalnej z niesłychanym pietyzmem, starannością i znawstwem stylu. Chóry Opery Poznańskiej i ZZK „Hasło" pod kierunkiem **Wiktora Buchwalda** wypadły na ogół dobrze. Reżyseria **Karola Urbanowicza** i pomysły inscenizacyjne **Józefa Munclingra** dalekie od zużytych szablonów operowych. Przedstawienie miało należyte napięcie i tempo. Doskonale zwłaszcza wypadła scena zbiorowa w czwartym akcie: tłum zbierający się nocą w lesie, zrewoltowany, spragniony pomsty za nędzę i ucisk. Dobre dekoracje i kostiumy zaprojektował **Zygmunt Szpingier.** Chereografia **Eugeniusza Paplińskiego.**

Wszędzie oczywiście da się znaleźć jakieś usterki, znajdziemy je i tutaj: chór w scenie koronacji nie brzmiał dość potężnie, niektóre role były aktorsko niedociągnięte. Usterki te są jednak nieliczne, i giną na tle ogromnego wysiłku całego zespołu włożonego w wystawienie „Borysa". Niżej podpisany miał okazję oglądać po wojnie „Borysa" w paryskiej Grand Opéra i może stwierdzić z satysfakcją, że przedstawienia tego nie można nawet porównać z poznańskim. Świadczy to niewątpliwie o wysokim poziomie i pomyślnym rozwoju poznańskiej placówki operowej.

Wśród poszczególnych wykonawców występujący gościnnie **Antoni Majak** i grający z nim na zmianę młody **Edmund Kossowski** stworzyli prawdziwą kreację aktorską i śpiewaczą w roli Borysa Godunowa. Bardzo dobrym głosowo Dymitrem Samozwańcem był **Wacław Domieniecki.** Postać Maryny Mniszchówny ujęła ciekawie **Antonina Kawecka.** Chytrość i bezwzględność jezuity Rangoni uosabiał **Cezary Kowalski,** podstępność kniazia Szujskiego — **Radzisław Peter.** Bardzo dobry był **Igor Mikulin,** jako Pimen. Świetnie wprost wypadł w czwartym akcie epizod z obłąkanym włóczęgą.

*

Na zakończenie wspomnieć należy o jeszcze jednym przedstawieniu operowym widzianym na scenie poznańskiej, a mianowicie o „Cyganerii" Puccini'ego. Inny to wymiar dzieła sztuki, tak inny, że aż żenujące jest zestawienie go w jednym artykule z „Borysem Godunowem". Muzyka Puccini'ego ckliwa i przesłodzona, choć nie pozbawiona wdzięku włoskiego „bel canto", w porównaniu ze starszym o kilkanaście lat, ale jakże współczesnym „Borysem" wydaje się nam już mocno „wczorajsza". Samo przedstawienie posiada zresztą sporo niedociągnięć — aktorskich, reżyserskich i muzycznych. Jednakże **Barbara Kostrzewska** w roli Mimi łączy rzadko na scenie operowej równocześnie widziane zalety: zalety wybitnej śpiewaczki, talent aktorski i doskonałe warunki sceniczne. Dlatego może warto zobaczyć i to przedstawienie, tym więcej, że „Cyganeria" — słusznie lub nie — zalicza się do „żelaznego" repertuaru wszystkich niemal teatrów operowych świata.

Wawrzyniec Żuławski

Z WYSTAWY W MUZEUM KULTUR LUDOWYCH W MŁOCINACH

SZTUKA LUDÓW AFRYKI I OCEANII

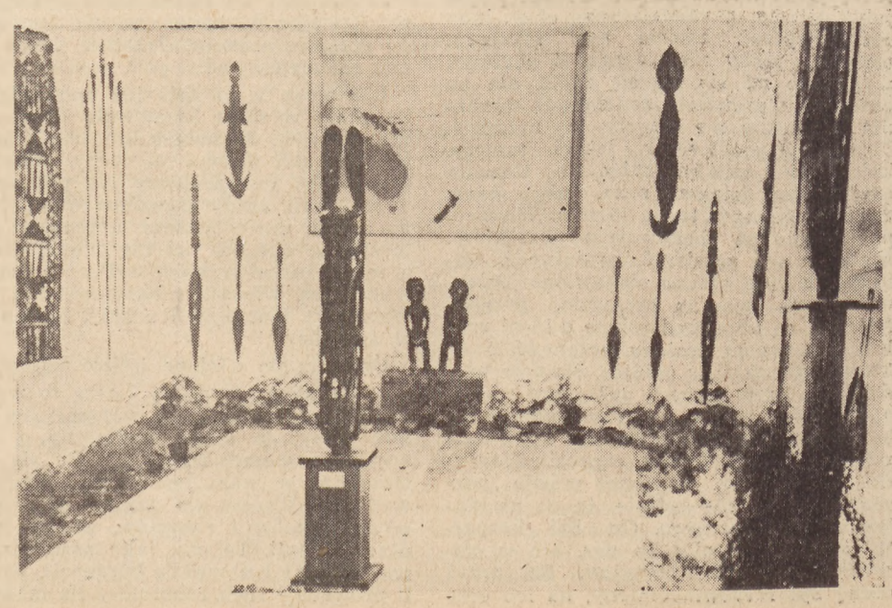

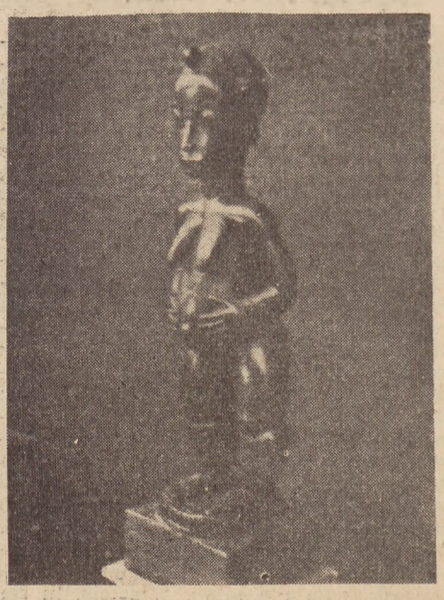

WIKTOR HORODYŃSKI

Narodowy charakter radzieckiej muzyki symfonicznej

Moskwa, w lipcu

Zmarły B. Asafiew (Igor Glebow), wybitny znawca i teoretyk muzyki współczesnej, stwierdził w jednym ze swych artykułów („Drogi rozwoju muzyki radzieckiej", 1947), że w całym rozwoju radzieckiej sztuki muzycznej „zachodzi proces stałego utrwalania się radzieckiego symfonizmu jako najwyższej intelektualnej dziedziny muzyki, będącej syntezą wszystkich innych jej rodzajów".

„Radziecka symfonia — pisze dalej Asafiew — odziedziczyła oczywiście tradycje rosyjskiej symfonii rosyjskich klasyków; przewijają się w niej — ulegając przekształceniom — symfoniczne koncepcje, formy, metody Borodina, Bałakirewa, Czajkowskiego, Głazunowa, Taniejewa. Ale to jeszcze nie wszystko; jasne jest dla każdego, kto śledził końcowe etapy muzyki symfonicznej na Zachodzie i wsłuchiwał się w nią, że właśnie radziecka rzeczywistość muzyczna nie tylko zachowała i uświadomiła sobie tradycje wielkich dni zachodnio-europejskiego symfonizmu, ale wlała w nie nowe życie przełamując dawne ciasne ramy indywidualistycznej symfonii."

Pozwoliliśmy sobie przytoczyć ten dość długi wyjątek dlatego, że — jak sądzimy — daje on klucz do zrozumienia charakteru estetycznego radzieckiej muzyki symfonicznej.

Cóż tedy stanowi podstawę tradycji rosyjskiego klasycznego symfonizmu, co stanowi jego idee, formy i metody?

Już w twórczości symfonicznej Glinki zatryumfowała bezwzględnie zasada ludowości w nastroju i języku; nie uznawał on żadnych odchyleń na rzecz pedantycznego absurdu szkolnego „symfonizowania", który wyrządził tak wielką szkodę muzyce zachodnio - europejskiej, oderwał ją od „ziemi muzycznej" i niewątpliwie przygotował grunt dla zwyrodniałego formalizmu burżuazyjnej dekadencji. W „Iwanie Susaninie", w „Rusłanie i Ludmile", w muzyce do dramatu Kukolnika „Kniaź Chołmski", w uwerturze-fantazji „Kamarinskaja" — wielkim arcydziele, o którym Czajkowski mówił, że w nim „jak dąb w żołędziu" zawarta jest cała rosyjska szkoła symfoniczna — jak również w obu „Uwerturach hiszpańskich" znajdujemy antycznie doskonałe wzory narodowo - rosyjskiej ludowej muzyki symfonicznej.

Nie przez omyłkę wymieniliśmy wśród przykładów narodowo - rosyjskiej muzyki symfonicznej „Uwertury hiszpańskie" Glinki. W „Rusłanie i Ludmile" (w słynnych scenach „Na zamku Nainy" i „W ogrodzie Czernomora") dźwięczą najróżnorodniejsze motywy, niemniej jednak opera ta jest wielkim arcydziełem *rosyjskiej* sztuki narodowej. Punktem wyjścia w ujmowaniu ludowości jest zasada wspólna całej klasycznej rosyjskiej szkole estetycznej, sformułowana przez Gogola: „Poeta może być nawet wtedy poetą narodowym, gdy opisuje zupełnie obcy świat, lecz patrzy nań oczami swego narodu, gdy czuje i mówi tak, że jego rodakom wydaje się, iż to oni sami czują i mówią." Ta niezwykle głęboka myśl posiada uniwersalne znaczenie dla sztuki wszystkich narodów i właśnie ona była punktem wyjścia dla wielkiego rosyjskiego demokraty-rewolucjonisty Aleksandra Hercena, który twierdził, że „poeta i artysta w utworach swych pozostaje zawsze poetą narodowym". Jest rzeczą oczywistą, że takie — powtarzamy — klasyczne dla sztuki rosyjskiej rozumienie zasady narodowości zupełnie wyklucza jakiekolwiek nacjonalistyczne zacieśnianie się. Przeciwnie, jest ono trwałym fundamentem dla internacjonalizmu, dla tego stanowiska, jakie zajął Andrzej Żdanow, kiedy mówił na zjeździe przedstawicieli radzieckiego świata naukowego w KC WKP(b) w roku 1948: *„Internacjonalizm w sztuce rodzi się nie na gruncie pomniejszenia i zubożenia sztuki narodowej, lecz przeciwnie, internacjonalizm rodzi się tam, gdzie rozkwita sztuka narodowa."*

To twierdzenie jest nieuniknioną konkluzją olbrzymiego doświadczenia zarówno rosyjskiej jak i światowej sztuki.

Jednakże pojęcie narodowości w sztuce nie może sprowadzać się tylko do zagadnień języka, kolorytu narodowego, ludowo - śpiewnych elementów intonacyjnych. Prawdziwie narodowym utworem artystycznym jest tylko taki utwór, który wyraża *ideały narodu*, odtwarza w formie artystycznej zjawiska życia, i to nie wszystkie (jak tego np. wymagają naturalistyczne szkoły literackie), tylko te, które stanowią istotną treść życia narodowego.

Uważaliśmy za konieczne przypomnienie tego wszystkiego, gdyż wszystko to stanowi ideowo-estetyczną podstawę radzieckiej muzyki symfonicznej. A to, co w ten lub inny sposób zrywało z powyższymi zasadami i odstępowało od nich — ponosiło nieuniknioną klęskę i spotykało się z potępieniem ze strony radzieckiego odbiorcy. W historii radzieckiej muzyki symfonicznej miały w swoim czasie miejsce takie wykolejenia i z nich to zrodził się kierunek formalistyczny, skrytykowany w historycznej uchwale KC WKP(b) z 10 lutego r. 1948 o operze „Wielka Przyjaźń" W. Muradelego, przeciw któremu jak najkategoryczniej wypowiedzieli się nawet najbardziej znani jego przedstawiciele.

*

Wiele jest utworów symfonicznych wszystkich rodzajów, form i stylów muzyki programowej i nieprogramowej, skomponowanych przez radzieckich kompozytorów; tutaj wspomnieć możemy tylko o niektórych, najbardziej typowych. Zwracamy uwagę na bogactwo stylów i różnorodność form radzieckiej muzyki symfonicznej, gdyż światem ich jest właśnie zwycięstwo kierunku narodowo-realistycznego w muzyce kraju socjalizmu. Cechy te odpowiadają nieskończonej różnorodności postulatów estetycznych ze strony milionów radzieckich słuchaczy i bogactwu ich świata duchowego. Już W. Stasow, znakomity rosyjski krytyk muzyczny ubiegłego wieku, podkreślał, że „nigdzie pieśń ludowa nie odgrywała i nie odgrywa takiej roli, jak w naszym narodzie, nigdzie nie zachowała takiego bogactwa, siły i różnorodności, jak w naszym narodzie. To nadało specyficzną strukturę i oblicze muzyce rosyjskiej i powołało ją do spełnienia specjalnych zadań." Te słowa wielkiego krytyka słuszne są nie tylko w odniesieniu do dawnej muzyki rosyjskiej, lecz i w odniesieniu do współczesnej radzieckiej muzyki wszystkich narodów ZSRR.

Czy sięgniemy do ostatniego chronologicznie wielkiego dzieła takiego mistrza, jak Szostakowicz — do jego oratorium symfonicznego „Pieśń o lasach", czy do poematu symfonicznego młodej, lecz wielce obiecującej leningradzkiej kompozytorki Ustwolskiej „Stepan Razin", do wspaniałego, w epickim stylu utrzymanego oratorium Szaporina „Opowieść o bitwie w obronie ziemi rosyjskiej", czy do koncertu na skrzypce z towarzyszeniem orkiestry D. Kabalewskiego; do 5 symfonii Janisa Iwanowa, lub do poematu symfonicznego Swiesznikowa „Szczors" (celowo wymieniamy utwory krańcowo różne pod względem formy i twórczych właściwości kompozytora) — wszędzie znajdziemy plastycznie wyrażoną intonacyjną osnowę śpiewno-ludową. Ale we wszystkich tych utworach, jak również w wielu innych, kompozytor tworzy w języku narodowym, zarówno pod względem formy jak treści.

Wydaje się, że jednym z najbardziej pod tym względem znamiennych zjawisk radzieckiej muzyki symfonicznej jest oratorium (czy też kantata symfoniczna) Szostakowicza „Pieśń o lasach", której źródłem natchnienia jest stalinowski plan przeobrażania przyrody ojczystego kraju. Szostakowicz występuje tu jako prawdziwy piewca radzieckiej rzeczywistości, jako poeta ludowy, choć śpiewnych „cytat" z oryginalnych motywów folklorystycznych dzieło jego zupełnie nie zawiera. Niemniej przeto radziecka krytyka podkreślała, że szereg melodyjnych motywów jego oratorium wznosi się intonacyjnie do motywów rosyjskiej pieśni ludowej, a w opracowaniu opiera się na tradycjach Borodina, Rimskiego-Korsakowa, po części także Czajkowskiego.

Nie mniej godne uwagi jest to, że w „Pieśni o lasach" bardzo dobitnie występuje typowa dla radzieckiej muzyki skłonność do polifonii. W polifonicznych epizodach symfonicznej kantaty leningradzkiego kompozytora A. Maniewicza „O pokój i demokrację", w świetnym poemacie symfonicznym Żukowskiego „Bądź wsławiona ojczyzno moja", w oratorium symfonicznym gruzińskiego kompozytora Mszwelidze, w poemacie symfonicznym młodego kompozytora azerbejdżańskiego Dżangirowa — we wszystkich tych utworach znajdujemy potwierdzenie tego, że intonacyjne właściwości jakiejkolwiek muzyki narodowej nie przeszkadzają zupełnie rozwojowi najbardziej skomplikowanych form polifonicznych. Nie ma w tym nic dziwnego, o ile idzie o muzykę rosyjską, ukraińską, gruzińską, w których wielogłos jest podstawową, przyrodzoną właściwością narodowej kultury muzycznej; ale przecież polifonia jest w całym tego słowa znaczeniu nowatorstwem np. w muzyce azerbejdżańskiej, kazaskiej, uzbeckiej, które jeszcze do niedawna w ogóle nie znały wielogłosu.

Jak widać, elementy narodowe w żadnym wypadku nie wypierają z radzieckiej muzyki symfonicznej „akademickich form" i sposobów twórczości. Zresztą z naszego punktu widzenia przeciwstawianie pojęcia „akademicki" pojęciu „narodowy" jest najjaskrawszym i najbardziej szkodliwym przesądem. Nie ma takiej myśli muzycznej, takiej frazy harmonicznej, takiej kombinacji polifonicznej (rozumie się w muzyce żywej a nie formalitycznej), które by nie pochodziły koniec końców z muzyki ludowej i które by w swym ostatecznym sformułowaniu nie stawały się własnością kultury muzycznej mas.

Narodowe, patriotyczne ideały, wzniosła poezja twórczej pracy, dumna świadomość wielkiej roli Związku Radzieckiego w ogólnoświatowej walce o pokój i demokrację — oto natchnienie twórcze radzieckich kompozytorów. Rzecz jasna, wszystkie te wielkie idee wymagają dla swego artystycznego wyrażenia ogromnego kunsztu, nienagannej znajomości narodowego języka muzycznego, wykorzystania i wszechstronnego rozwinięcia wszystkich form symfonicznego myślenia, jakie zna światowa kultura muzyczna.

Wiktor Horodyński

WITOLD RUDZIŃSKI

Dziesiąta woda po Kisielu

MOTTO: nie chcę własnymi rękami przyśpieszać prądu, który tak czy owak niesie mnie naprzód.

K i s i e l „Łopatą do głowy" (TP, nr. 251).

Stefan Kisielewski w jednym z ostatnich numerów „Tygodnika Powszechnego" (nr. 277) w felietonie „Łopatą do głowy" narzeka na zupełne izolowanie go od dyskusji. „Pisałem o wszystkim — powiada — nikt nie podejmował dyskusji, nikt nie uwzględniał moich argumentów, gadali swoje jakby mnie nie było. Ja biorę sprawy serio — oni nie." I dalej — „Wierzę w dyskusję, która jest najpiękniejszą formą kolektywnego dochodzenia do prawdy, w dyskusję wychowawczą, która otwiera mózgi i serca. Wierzę w dialektyczny postęp przez konflikt przeciwieństw, wierzę w konieczność ciągłego przewartościowywania, nie wierzę w życie intelektualne bez stałej antynomiczności poglądów i bez szczerego, bezkompromisowego definiowania". Kryptonim pod felietonem jest umyślnie czytelny — nikt nie wątpi, że Kisiel to Kisielewski.

To jest teoria. A teraz praktyka. Po takim wyznaniu można się spodziewać, że każda okazja dyskusji będzie dla Kisielewskiego próbą dochodzenia do prawdy. Cóż zaś może być dla muzyka i kompozytora — a jest on utalentowanym i czynnym kompozytorem — lepszą okazją, niż zjazd kompozytorów; zjazd, który odbywał się w okresie napiętej i dramatycznej walki z formalizmem, walki o nowe oblicze sztuki. Istotnie. W tym samym numerze „Tygodnika" znajdujemy obszerne sprawozdanie ze zjazdu (nb. jedyne jak dotąd w tego typu pismach) napisane właśnie przez Kisielewskiego. Rozumie on wyjątkowość sytuacji, skoro mówi „sam nieraz pisałem, że kompozytor bywa ciasnym specjalistą-rzemieślnikiem, nie orłem intelektualnym. Nie wierzę jednak, aby w momencie, gdy rozstrzygają się najistotniejsze sprawy tego rzemiosła, nie mógł on zrozumieć o co chodzi, aby nie pojął obowiązku znalezienia motywacji centralnej, ideowej, moralnej i intelektualnej, obowiązku uderzenia w wielki dzwon światopoglądowy, a jednocześnie powiązania swych idei z muzycznym konkretem". Jak widzimy — jeśli chodzi o docenienie zjazdu — nic Kisielewskiemu zarzucić nie można. Co więcej — przyjeżdża on na zjazd z szeregiem pytań zasadniczych. Formułuje je w sześciu punktach, istotnie ważnych, tezach, które jak sam mówi, postawili na zjeździe również marksiści.

Kisielewski zupełnie słusznie i trafnie określa zachowanie się wielu kompozytorów jako „nabieranie wody w usta", ostro krytykuje to zachowanie się. „Kto uparcie skręca z zasadniczego toru dyskusji filozoficzno - estetycznej w jakieś dopostronne, boczne uliczki, ten daje dowód dezorientacji i małoduszności". Jesteśmy teraz zupełnie pewni, że po takim postawieniu sprawy on sam wziął czynny udział w pracach zjazdu. Różnice ideologiczne wcale tu nie mogły przeszkadzać — sam bowiem mówi, że „przyszły takie czasy, że trzeba mówić i forsować — i to bez względu na to, czy się jest pro czy contra". Z jakimż tedy zdumieniem czytamy po tych wynurzeniach takie wyznanie: „Niżej podpisany obserwował zjazd jedynie jako widz — nie zainteresowany a za to bardzo zdziwiony"!

Tak oto praktyka ukręciła łeb teorii. Członek Związku Kompozytorów, niestrudzony szermierz na polu estetyki muzycznej — na zjeździe kompozytorskim uważa się tylko za widza, i to niezainteresowanego; człowiek, który pragnie drogą dyskusji dochodzić prawdy — nie zabiera głosu właśnie wtedy, gdy nadarza się po temu najlepsza sposobność. To jest co najmniej niezrozumiałe.

Przyjrzyjmy się wobec tego bliżej artykułowi Kisielewskiego o zjeździe. Obserwuje on to zebranie ze swego stanowiska, które nieraz dosyć jasno określał. Widzi — indolencję zebranych, niechęć do dyskusji; gładko jednak zwalnia siebie z obowiązku omówienia szeregu zasadniczych przemówień zdaniem „pomijam w tej chwili przemówienia oficjalne, gości zagranicznych" itp., oraz skrupulatnie nie dostrzega dosyć istotnych zdarzeń. Kilka wypowiedzi krytycznych, pierwszych prób rozwinięcia zupełnie nowej, na konkretnym materiale opartej dyskusji, nazywa „porachunkami osobistymi"; świetne przemówienie reprezentanta „Koła Młodych", znakomicie podbudowane ideologicznie, kwalifikuje jako „nie mające ambicji ideologicznych"; na koncerty chodził, ale nie na wszystkie; nie słuchał interesującego pokazu utworów radzieckich i polskich — choć tu właśnie znalazły się godne uwagi i dyskusji nowe dzieła polskie; kapitalny akcent zakończenia zjazdu w Karolinie, w gościnie rewelacyjnego zespołu „Mazowsze", tego najlepszego wina chowanego na koniec, przykładu zupełnie nowego, twórczego, kolektywnego stosunku do pracy — ten akcent uszedł jego uwagi zupełnie.

Kisielewski, na zjeździe nie dyskutował, bo się nie czuł zainteresowany, był tylko widzem, jednak brał udział w głosowaniu, bo przecież nie był tylko gościem. Nie był też po prostu obserwatorem, jak w nas chce wmówić, bo tylu rzeczy nie zauważył, a przynajmniej nie odnotował. W tym samym numerze „Tygodnika" stawia stronom dyskutującym, powołując się na Irzykowskiego, żądanie „dyskutowania zawsze na płaszczyźnie w sytuacji korzystnej dla przeciwnika, na płaszczyźnie przez niego proponowanej" — najwidoczniej jednak żąda tego tylko od swoich przeciwników, bo sam przez sposób wyboru zagadnień, przemilczanie jednych, dobieranie innych faktów — klasycznie chyba dobiera wygodne pole, ale tylko dla siebie. Wiadomo, że dobrze jest spojrzeć na tę samą rzecz z wielu stron. Ale Kisielewski na jedne rzeczy patrzy przez jeden koniec lunety, a na inne przez drugi. Radzi także „uderzać w mocne strony przeciwnika" — tymczasem zaś duża część artykułu poświęcona jest wyszukiwaniu przejęzyczeń, takich, jak „Symfonia" zamiast „Uwertura" itp., co chyba także nie jest wyszukiwaniem mocnych stron przeciwnika. Odwrotnie — istotne, mocne strony zjazdu nie zostały dostrzeżone, nie zostały dosłyszane — ani w dyskusji, ani w pokazach muzycznych. A więc w teorii piękne hasła, obiektywizm, dochodzenie prawdy, melodramatyczne wskazywanie na siebie jako na ofiarę „zmowy milczenia" — w praktyce kopnięcie bez skrupułów swoich założeń, wykrzywienie obrazu, zupełnie inna postawa.

W pewnej noweli Chestertona włamywacz dokonuje efektownej kradzieży występując w podwójnej roli — gościa i lokaja. Nie robi tego dla pucu. To była jego celowa taktyka. Raz chodząc z godnością lorda, to znów biegnąc truchcikiem z serwetką pod pachą, organizował korzystne dla siebie okoliczności.

Co chciał zorganizować Kisielewski — jaka jest jego właściwa rola w sprawozdaniu ze zjazdu? Dwie rzeczy uderzająco wysuwają się tu na czoło. Po pierwsze — przybranie pozy niezainteresowanego widza, po wtóre — przedstawienie wykrzywionego obrazu przebiegu zjazdu. Kisielewski świetnie rozumie, że moment jest tego rodzaju, kiedy utrzymanie się na pozycjach neutralnych jest niemożliwe. Wytyka to zresztą swoim kolegom. Nie jest żadną tajemnicą, że pewna część kompozytorów takie chwiejne pozycje zajmowała. Nie jest też żadną tajemnicą, że wypowiedzi Kisielewskiego na tematy estetyczne znajdują niejednego gorącego wielbiciela wśród tej grupy. („Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!"). Rozpoczął przecież jej kształcenie ideologiczne dosyć dawno. Najpierw zajął pozycje krytyczne w stosunku do modernizmu w bardzo interesującej wypowiedzi sprzed kilku lat na temat II Symfonii Palestra, Koncertu skrzypcowego Baceviczówny i kilku innych utworów. Zdawało się, że przybędzie w jego osobie silna pomoc. Gdy jednak sprawa walki z formalizmem stała się sprawą polityczną — zręcznymi piruetami zmienił kierunek. Właśnie wyszukiwał słabe punkty przeciwnika — atakując je nie kwapił się z ustalaniem mocnych. Tak np. było, gdy pisał o programie Grupy 49: „młodzi muzycy w urzeczywistnieniu swoich celów nie chcą rezygnować z jakichkolwiek zdobyczy nowoczesnej harmonii — i Panu Bogu świeczka i diabłu ogarek" („Ty-Po" nr. 254). Pragnął wmówić w nas, że „rozpasane nowatorstwo" to sprawa dawno już przebrzmiała, nieaktualna od 1928 r. Jeszcze krok, a powtórzyłby za Rytlem, że formalizm to zjawisko istniejące na kuli ziemskiej tylko w Krakowie. Lojalnie jednak muszę stwierdzić, że tego nie powiedział. W sprawozdaniu ze zjazdu widzi w Symfonii Kiesewettera, muzyce bezpretensjonalnej, ale pięknej, żywej, wesołej „utwór bezstylowy, eklektyczny" — ale nie chce dostrzegać grubego, bezideowego eklektyzmu tych dzieł formalistycznych, które znajdują łaskę w jego oczach. Kisielewski doskonale wie o tym, że formułując „obiektywne" wątpliwości a zamykając oczy na pozytywne cele walki z formalizmem, może pokusić się o „rząd dusz", o przeciągnięcie na swoją stronę tych chwiejnych. Wie o tym, że powstrzymywanie się od dyskusji opóźni postęp, pomiesza szyki przeciwnikowi, toteż lekko rezygnuje ze swego deklaratywnego stanowiska zwolennika dyskusji — swoim milczeniem zachęca innych do milczenia, tych zaś, którzy by się mogli dać przyciągnąć do pracy drogą dyskusyj szczerych, konkretnych, życzliwych, choć ostrych — demobilizuje jednym określeniem: „to przecież osobiste porachunki". Na zjeździe oczekiwał od kolegów tej samej biernej postawy, której dał „czynny" przykład; w artykule swoim starannie poustawiał zdarzenia w taki sposób, by narzucić skrzywiony obraz zjazdu, by zatrzeć wszystko, co zaczęło na nim kiełkować, wszystko zaś zasnuł dymną zasłoną oburzenia na indolencję i chowanie głowy w piasek. Jak mawiał Zagłoba — ubrał się diabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni.

Mniejsza o Kisielewskiego. Stokroć ważniejsze jest to, by kompozytorzy, którzy się wahają, przejrzeli się w lusterku, jakim jest jego artykuł — to prostym, to wklęsłym, to wypukłym. Deklamowanie, deklaratywność, zapewnianie, rozszczepianie włoskowatych wątpliwości na czworo nie przyniesie pozytywnych rezultatów. Dopiero konkretna praca, walka o nowy styl i nowy język pomoże rozstrzygnąć piętrzące się trudności. Wielu — w tej liczbie i Kisielewski — przyszło na zjazd z pytaniami i wątpliwościami, czekając, że ktoś za nich je rozstrzygnie, poda recepty, zdecyduje, czy można wykroczyć poza dur i moll, pokaże, co dobre, a co złe. Podobnie jak Kisielewski, nie tylko nie próbowali oni rozwiązać czy podjąć te zagadnienia w dyskusji — ale nawet tych pytań w ogóle nie postawili. Tylko, że on wiedział dobrze, dlaczego nabrał wody do ust — oni zaś byli jedynie dziesiątą wodą po Kisielu.

Witold Rudziński

MICHAŁ RUSINEK
MŁODY WIATR
Opowiadania
str. 178 zł. 200.—

STANISŁAW WYGODZKI
WIDZENIE
Opowiadania
str. 274 zł. 300.—

STANISŁAW WYSPIAŃSKI
WESELE
Ze wstępem
prof. dra Kazimierza Wyki
str. 274 zł. 230.—

PAŃSTWOWY
INSTYTUT WYDAWNICZY

Pod urokiem Francji

(Dokończenie ze str. 4)

notom, bije się nawet dzielnie na polu walki, ale w postępowaniu jego niema ładu ani składu a niebezpieczny i zepsuty Luwr pociąga go nieodparcie. Nawet wówczas, gdy doznaje tam samych upokorzeń i jest faktycznie traktowany jak więzień, przez długi czas nie może się zdecydować na ucieczkę, na jakiś rozsądny czyn. Gubi się w plątaninie intryg, tchórzy, wypiera się swych przyjaciół. Jednocześnie jednak dojrzewają w nim powoli poglądy przyszłego autora edyktu nantejskiego. Hugenocki fanatyzm admirała Coligny jest mu równie obcy, jak fanatyzm katolicki, jako jedyny występuje przeciwko okrucieństwom popełnianym na ludności przez obie strony, aż wreszcie, walcząc w końcowym okresie swej młodości z wojskami Katarzyny i Świętej Ligi, walczy zarazem o sprawiedliwość dla prostego ludu. Ku oburzeniu przeciwników wychowuje swych hugenockich żołnierzy w nowym duchu, „nie przestrzega reguł wojennych, nie wiesza ani nie rabuje; co więcej podkopuje ład społeczny... ucztuje przy jednym stole z ubogimi", którzy zaczynają go uważać za swego wybawcę i swego, ludowego króla. Mann pokazuje też, jak jego bohater staje się humanistą, jak pod wpływem lektury i rozmów z Michałem de Montaigne odkrywa moc dobroci i mądrości, jak otwierają mu się oczy na kulisy wojen religijnych, jak budzi się w nim prawdziwy patriotyzm, każący mu później jednoczyć Francję dla przeciwstawienia się zaborczym planom hiszpańskich Habsburgów.

Należy sobie życzyć, by część II powieści o Henryku IV, nosząca tytuł „Die Vollendung des Henri Quatre" została również jak najszybciej przełożona na język polski. Tam bowiem Henryk wyrasta ostatecznie na światłego, postępowego władcę, który wydobywszy Francję z pęt średniowiecznego ustroju społecznego i zakończywszy wojny religijne otwiera nowy rozdział w dziejach swego kraju, staje się prekursorem nowoczesnej demokracji burżuazyjnej. Dąży do zapewnienia ludowi lepszego bytu materialnego (słynne: „Je veux, que le dimanche chaque paysan ait sa poule au pot") i gwarantuje mu wolność sumienia. Sam zaś wierzy w „humanizm, będący wiarą w ziemskie przeznaczenie człowieka, w jego rozum i męstwo, wolność i szczęście...". „Trzeba, aby humaniści — powiada — byli bitni i zawsze uderzali, gdy wrogie moce chcą wstrzymać bieg ludzkich przeznaczeń. Moi dzielni hugenoci bronili prawa i sumienia, to samo i ja czyniłem każdego czasu...".

Trudno nie dopatrzyć się w tych zdaniach wezwania i credo samego Manna, który pisał je w dobie triumfującego hitleryzmu. I choć mylili się niewątpliwie ci niemieccy krytycy emigracyjni, którzy sprowadzali całą powieść o Henryku IV i jego przeciwnikach do historycznej paraleli, to jednak nie ulega wątpliwości, że w osobie ks. de Guise Mann potępił m. i. faszystowską zasadę wodzostwa a w popleczniakach Świętej Ligi przedstawił demagogicznych totalistów, żerujących na nędzy i łatwowierności prostego ludu. Strony powieści poświęcone zobrazowaniu poczynań księcia i jego partii mają charakter ostrych, przejrzystych pamfletów. Tu Mann artysta podał bezpośrednio rękę Mannowi publicyście i politykowi, bezkompromisowemu bojownikowi antyfaszystowskiemu.

Henryk Mann, który mocą swego talentu wystawił piękny pomnik jednemu z wielkich Francuzów i jego czasom, doczekał się potem, że prasa rządu Petaina i Lavala prześcigająca się z hitlerowską w szkalowaniu pisarza, nazwała go „le vieux coquin" — starym łajdakiem. Ale wielbiciel Voltaire'a, tłumacz France'a i autor „Henryka IV" wiedział, że pismacy z Vichy nie mieli nic wspólnego z wielką historią i wielką kulturą Francji, która przez długi czas była dla świata synonimem postępu i wolności. Dlatego kochał ją po kres swego życia a w autobiograficznym „Obrazie wieku", ukończonym w r. 1944, określił jako „drugą ojczyznę każdego Europejczyka".

Egon Naganowski

KSIĄŻKI NADESŁANE

„CZYTELNIK"

Sergiusz Gołubow. Narodziny epoki. Powieść. Tłumaczyła z rosyjskiego *Zofia Kaczorowska.* Okładkę projektował *Henryk Tomaszewski.* (Klub „Odrodzenia"), III.1950). Warszawa, 1950; str. 612 i 4 nl.

Józef Ignacy Kraszewski. Skrypt Fleminga. Powieść historyczna z czasów Augusta II. Tom I i II. Okładkę projektował *K. M. Sopoćko.* Warszawa, 1950; str. 335 i 1 nl.

Wacław Gąsiorowski. Czarny Generał. Okładkę projektował *Jan S. Miklaszewski.* Warszawa, 1950; str. 415 i 1 nl.

Lew Tołstoj. Wojna i pokój. Tom pierwszy. Przełożyła z języka rosyjskiego *Zofia Petersowa.* Okładkę projektował *Henryk Miklaszewski.* Warszawa, 1950; str. 444 i 4 nl.

Mikołaj Leskow. Opowieść o tulskim mańkucie. Bałwierz - artysta. Tłumaczył *Julian Tuwim.* Ilustrował *Antoni Uniechowski.* Warszawa, 1950; str. 107 i 1 nl.

Denis Diderot. Paradoks o aktorze i inne utwory. Przełożył i wstępem opatrzył *Jan Kott.* Warszawa, 1950; str. 214 i 2 nl i 5 knl.

Mulk Raj Anand. Dwa liście i pąk. Przełożył z języka angielskiego *Bolesław Miga.* Okładkę projektował *K. M. Sopoćko.* Warszawa, 1950; str. 319 i 1 nl.

August Wilkoński. Ramoty i ramotki. Wyboru dokonał i wstępem opatrzył *W. L. Brudziński.* Okładkę projektował *Eryk Lipiński.* (Biblioteka „Szpilek" 4). Warszawa, 1950; str. 172 i 4 nl.

Karel Czapek. Humoreski. Ilustrował *Jerzy Srokowski.* Tłumaczyła z języka czeskiego *Maria Erhardtowa.* Okładkę projektował *Eryk Lipiński.* (Biblioteka „Szpilek" 5). Warszawa, 1950; str. 139 i 5 nl.

Rose Wuhl. Czapka mądrości i inne baśnie. Ilustrował *Jan Lenica.* Przełożyła z języka angielskiego *Janina Czarnocka.* Warszawa, 1950; str. 66 i 2 nl.

Lew Tołstoj. Trzy niedźwiedzie. Przełożyła z języka rosyjskiego *Maria Grzeszczak.* Ilustrowała *Eugenia Różańska.* Warszawa, 1950; str. 22 i 2 nl.

Zofia Kalinowska. Wśród zjawisk geofizycznych. Wydanie drugie. Okładkę projektował *A. Heidrich.* Warszawa, 1950; str. 134 i 2 nl.

Aleksander Puszkin. Wystrzał. (Teksty rosyjskie „Czytelnika". Zeszyt 2). Warszawa, 1950; str. 35 i 1 nl i 1 knl (errata).

Danuta Stachórska. Elektron. („Wiedza Powszechna". Z cyklu: Świat atomów. Zeszyt IV). Warszawa, 1950; str. 53 i 3 nl.

Leszek Klimwa. Europa. Wiadomości ogólne. („Wiedza Powszechna". Z cyklu: Nauka o ziemi. Zeszyt VII). Warszawa, 1950; str. 38 i 2nl.

mała kronika

Wróciwszy z nad Wisły, gdzie spędziłem święto lipcowe, zabrałem się pod wieczór do przestawiania biblioteki. Zdarza się czasem, że napada mnie kłopotliwy szał porządkowania. Odkrywam wtedy mnóstwo zagubionych książek. Każda ma swoją historię, przeżyła sporo, zanim znalazła się na półce, wciśnięta pod ścianę. Wczoraj wyciągnąłem z kąta koło szafy oprawny tom niejakiego Grahama Greene'a, przytłoczony opasłym, ale nierozciętym Gołubiewem i zjadliwie żółtą rozprawą księdza Pastuszki. Ten tom — to powieść. Nazywa się: „Sedno sprawy". Cóż to była za historia z jej nabyciem! Żył był sobie w Warszawie pewien księgarz, nawet niestary. Nowicjusz w zawodzie, ale sprytny. Dobre były lata, powojenne. Księgarz księgarenkę miał maleńką, krótką i wąską jak serdelek. Żadnych książek zagranicznych nie trzymał, wyjątek robił jedynie dla angielskich. Duży wybór, a przeważnie katolicy. Tam dostałem nowego Creene'a. Skąd taki księgarz do katolików angielskich? Pobożny, czy co? Poszedłem do konkurenta, taki zawsze wie najlepiej. „Co pan chcesz, urządził się — powiedział konkurent. — Katolik? Katolik to on był, ale nie jest. Przepisał się na metodystę. Metodyści mu książki sprowadzają, ile zechce. Strasznie nie lubię katolików, którzy udają metodystów" — dodał z westchnieniem.

A ja odwrotnie: strasznie nie lubię metodystów, którzy udają katolików. Dlatego napiszę parę gorzkich słówek pod adresem Wojciecha Żukrowskiego. Ten zachwyca się pospołu z całą katolicką krytyką literacką Grahamem Greenem. Odkrył wielkiego moralistę. Wzór wszelkich cnót pisarskich. Greene, według Żukrowskiego, odsłania działanie łaski, która jest sednem sprawy życia człowieka; łaski, którą pogardza zły katolik. Bohater powieści, major policji kolonialnej, Scobie, „jest złym katolikiem, więc i złym urzędnikiem". Bo gdyby był dobrym katolikiem to byłby dobrym urzędnikiem — w koloniach angielskich. Dobrym urzędnikiem — to znaczy pilnowałby porządku imperialistycznego. Szczęście, że rzecz nie dzieje się na Malajach. Gdyby się tam działa, dobry katolik, dobry urzędnik dobrze by strzelał z karabinu i pistoletu. „Action" podaje, że na Malajach Anglicy płacą za zabitego partyzanta 200 tys. franków w przeliczeniu na monetę francuską. Amerykańskie tygodniki ilustrowane umieszczają wymowne zdjęcia z życia plantatorów. Plantatorzy nie rozstają się z pistoletem maszynowym. Wojska najemne przeczesują dżunglę i zabijają podejrzanych. Samoloty palą wsie. Zbierać można kauczuk tylko jedną ręką. W drugiej trzeba trzymać karabin, piszą reporterzy z Malajów i Indochin. I to jest sedno sprawy dzisiejszych kolonii.

Ale dobry katolik Greene udaje ślepca. Bo cóż dzieje się w tej „tragicznej" powiastce z życia wyższych urzędników? W cichej nie tkniętej jeszcze walkami wyzwoleńczymi kolonijce angielskiej? W tej cichej kolonijce żył był major Scobie, policjant. Miał żonę, histeryczkę. Żona chciała jechać do kurortu, ale pieniędzy nie było. Scobie poszedł do banku, lecz bank odmówił. Kapitał finansowy nie uprawia filantropii. Cóż tedy czyni Scobie? Lituje się nad żoną. Aby zdobyć dla niej pieniądze, popełnia mnóstwo przestępstw. Wchodzi w konszachty z kupcami arabskimi, którzy wyzyskują kolonię, osłania przemyt i szpiegostwo, bierze łapówki, pozwala zamordować swego sługę. Wplątuje się z „litości" w romans z dziewczyną, uratowaną z zatopionego przez łódź podwodną statku. Osłoniwszy cały mechanizm prawdziwego życia kolonizatorów, Greene zaprezentował czytelnikom rzekome konflikty moralne, a Żukrowski dał się na nie nabrać. Albo udaje, że dał się nabrać i nabiera innych.

Żukrowski nie pyta, skąd policjant Scobie wziął się w koloniach. Gdy bohaterzy powieści Ażajewa budują rurociąg naftowy u wybrzeży oceanu, to wiemy, że posłała ich tam partia komunistyczna. Cierpienia bohaterów na mrozie i wichrze pomogą ludziom radzieckim zwyciężyć faszyzm i przyczynią się do budowy komunizmu. Major Scobie siedzi w koloniach, bo jest częścią systemu kapitalistycznego. Jest jego wiernym i posłusznym sługą. Gdy „zdradza" swą służbę, popada w wielkie nieszczęścia. Gdyby się nie zabił, wsadziliby go do więzienia. Greene powiada po prostu: służ dobrze ustrojowi, bądź dobrym urzędnikiem, a unikniesz konfliktów. Inaczej — pozostaaje ci tylko łaska.

Można by tak ciągnąć nitkę za nitką, aż się wypruje całą powieść. Ale nie warto. Warto natomiast przysłuchać się przez chwilę krzykowi, który podniósł się wokół Greene'a wśród polskich literatów katolickich. Krzyk co najmniej taki, jakby odkryli nowego Paukszte. Albo odnaleźli dalszy ciąg „Chwały córy królewskiej".

W tym krzyku jest metoda. Krytyka katolicka coraz to wydobywa na wierzch jakieś bezradne wysiłki pisarzy pozostających w kręgu literatury burżuazyjnej, prezentując je nieświadomemu czytelnikowi jako ostatni wyraz humanizmu i postępu. Tak było z Claudelem, który zdemaskował się jako zaciekły atomowiec, tak z Bernanosem, tak z Marshallem, tak z Greenem. Przemilczając ich polityczną działalność i rozliczne, wrogie postępowi wypowiedzi, preparuje się ich na wzór i podobieństwo pisarzy postępowych, tyle tylko, że „uduchowionych". Chce się udowodnić, że katoliccy pisarze zachodu nie bronią imperializmu, pragnie się pokazać ich „integralną współczesność", która tak zachwyca Żukrowskiego u Greene'a.

Jest metoda w krzyku, jest i w przemilczaniu. Wzór nieprześcigniony dał „Tygodnik Powszechny", który umieścił kiedyś na Pierwszego Maja artykuł wstępny o Zygmuncie Starym. Na tegorocznym zjeździe literatów młody krytyk katolicki Lichniak złożył oświadczenie, że katolicy wespół z marksistami budują socjalizm w Polsce. Stąd literatura katolicka jest równie postępowa co marksistowska. Przemilczał tylko, że naród polski buduje socjalizm pod kierunkiem polskiej klasy robotniczej i przy pomocy Związku Radzieckiego. Że inaczej katolicy nigdy by socjalizmu nie zbudowali. Jak nie budują go, powiedzmy, w Hiszpanii czy w Bawarii. Ten krzyk i to przemilczenie wskazuje również polskiej krytyce marksistowskiej kierunki uderzenia. W okresie budowania podstaw socjalizmu walka o oblicze postępowej, socjalistycznej kultury nie wygasa ,lecz przybiera nowe, niespodziewane i trudne formy. Usuwając instytucje kapitalizmu z naszego życia gospodarczego i społecznego, musimy usuwać również przeżytki świadomości burżuazyjnej z umysłu człowieka, choćby przebierały się one w togi moralności i nabożnie twierdziły, że dotykają „sedna sprawy" losu człowieka i ludzkości.

Tadeusz Borowski

NOWOŚĆ W ZOOLOGII

Rys. W. Wasiliew (Krokodyl)

Żuk Colorado i jego larwa

Komentarze

O perfidii i dyplomowanych lokajach klechostwa

Gdyby istniał u nas zwyczaj nadawania dyplomu zasługi najbardziej perfidnemu publicyście, osobnik ukrywający się skromnie pod literkami J. R. („Dziś i Jutro" nr 242) miałby pełne prawo do uzyskania go. Pan J. R. napisał pod tytułem „Humanizm a łaska" sprawozdanie z paryskiego Tygodnia Intelektualistów Katolickich. To jego sprawa i jego zasługa. Ale pan J. R. uznał za wskazane zająć się trochę i materializmem dialektycznym pokazując przy okazji majstersztyk publicystycznej uczciwości.

Omawiając referaty „uczonych" katolickich, zajmujące się zagadnieniami psychiki ludzkiej, p. J. R. pisze: „Mechanizm i funkcjonowanie mózgu nie wyjaśnia całkowicie psychiki człowieka. Lokalizacja czynności umysłu w tym, czy innym zwoju mózgowym nie wytrzymuje prób doświadczalnych". A nieco poniżej dodaje z głupia frant: „Na marginesie można też zauważyć, że mechanistyczne i biologistyczne teorie psychiki ludzkiej zostały również od dawna odrzucone przez psychologię marksistowską".

Bardzo przepraszamy, panie J. R., czy więc psychologia marksistowska uważa, jak to wynika z pańskiego sprawozdania, iż „funkcjonowanie mózgu nie wyjaśnia całkowicie psychiki ludzkiej?". P. J. R. utwierdza swych czytelników w tym przekonaniu, pisząc zaraz po powołaniu się na marksistów: „Jakie zatem wnioski można wyprowadzić z tego zagadnienia". — I odpowiada jednocześnie słowami jednego — powiedzmy za Dietzgenem — z dyplomowanych lokajów klechostwa, profesora Sorbony, Mangenota: „Nauki przyrodnicze są bezsilne wobec tajemnicy stojącej na początku wszechrzeczy. Nie w nich więc należy szukać zagadki naszego początku i losu". Czyli otwarcie mówiąc upadnijmy na kolana, jak to już przed laty radził Pasteur.

Sprawa zadwałoby się błaha. Tak jednak nie jest. Coraz częściej w pismach tzw. „katolickich" spotykamy powoływanie się na naukę marksistowską w atakach na wulgaryzatorów przy jednoczesnych próbach ośmieszenia samego materializmu. Z cytowanego sprawozdania wnioskować można, iż marksiści nie ograniczają psychiki do funkcji materialnego mózgu zgadzając się na jej „nadprzyrodzoną tajemniczość". Zdaje się, że dziś wobec tylu prac referujących osiągnięcia Pawłowa i jego szkoły, bredni tych prostować nie musimy. Musimy natomiast zapytać: w jakim celu nieuczciwi sprawozdawcy przez perfidny układ swych rozważań usiłują na marksistowskim autorytecie upiec idealistyczny zakalec?

b. grz.

Strach

Tak zwany „Komitet dla studiów zagadnień europejskich", organizacja inspirowana przez amerykańskich polityków i skupiająca najreakcyjniejsze elementy w Europie, zwróciła się z apelem do Ameryki, aby jej lotnictwo zrzuciło na Koreę bomby atomowe. Pod tym wezwaniem umieszczony był podpis lorda Vansittarta i innych konserwatystów angielskich. Ale panowie ci po kilku dniach zmiarkowali, że podobne igranie z ogniem nie wyjdzie im na zdrowie. Lord Vansittart i jego koledzy złożyli oświadczenie, że passus o zrzuceniu bomb atomowych na Koreę został umieszczony w apelu bez ich zgody i że oni „o tym nic nie wiedzą".

Także we Francji kilku podżegaczy wojennych, których nazwiska figurowały pod nawołującym do rzezi apelem, doszło do przekonania, że można przy bombie atomowej poparzyć sobie palce. Po odwrocie lorda Vansittarta wycofał się Schuman, który stwierdził, że „nie ma pojęcia o danym dokumencie i podobne

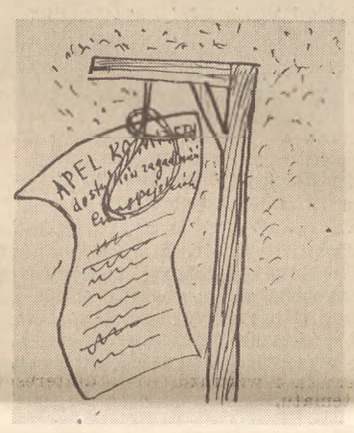

postulaty są obce jego myślom". Nawet „grabarz trzeciej republiki" Paul Reynaud skwapliwie wyraził „poważne wątpliwości" co do słuszności apelu. Zdecydowana postawa międzynarodowego ruchu pokoju i niedwuznaczne manifestacje proletariatu zachodniej Europy przekonały amerykańskich sługusów, że ich bezkarność ma pewne granice i że w przysłości trzeba będzie zdać sprawę za popełnione zbrodnie. Pod apelem „Komitetu dla studiów zagadnień europejskich" pozostało zaledwie kilkanaście podpisów. Między nimi nazwiska katolickiego pisarza Paul Claudela, gorliwego adoratora — jak niegdyś Pétaina — Trumana, spocjaldemokraty Le Trocquera i gaullisty Paul Bastide'a.

rk

Wojna daje zyski

Amerykańska agresja w Korei spotkała się z najwyższym uznaniem przede wszystkim w amerykańskich sferach kapitalistycznych. Szczególnie zadowoleni są właściciele przedsiębiorstw okrętowych, którzy zwietrzyli tu doskonały interes. Po zwycięstwie wojsk ludowych

w Chinach nastąpił zastój w handlu z dalekim wschodem, co odczuli dotkliwie na własnej skórze armatorzy okrętowi na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. I nagle wszystko się ożywiło. Korespondent United Press z San Francisko z triumfem donosi o wielkim ruchu, który zapanował w największym porcie zachodnim. Przedsiębiorstwa rozkwitają na nowo, wzrósł popyt na statki przewozowe, samoloty transportowe itp. Amerykańscy reederzy są zatrudnieni po uszy. Ich statki przewożą na Koreę bomby i działa, a w drodze powrotnej trumny ze zwłokami młodych Amerykanów, którzy padli na odległym półwyspie w obronie interesów Rockefellera i Morgana. Wspomniany korespondent z całym cynizmem wyraża zachwyt nad takim rozwojem wypadków. Domaga się walki „do ostatniego żołnierza" i obrony „dobrze zrozumiałych interesów amerykańskich". Artykuł kończy się słowami: „Wojna w Korei jest złotą żyłą, która nie prędko nadarzy się w przyszłości." Oto odwrotna strona medalu, który zwie się „amerykańską obroną wolności na świecie".

kst

Z brytyjskiego commonwealthu

Gubernator Południowej Afryki, który jest pełnomocnikiem „socjalistycznego" rządu Wielkiej Brytanii, ogłosił ostatnio dwie ustawy świadczące o wielkiej dbałości o czystość rasową imperium brytyjskiego. Pierwsza z nich pozwala osiedlić się w Południowej Afryce każdemu uchodźcy, który brał udział w wojnie przeciw Anglii, pod warunkiem, że osiedleniec jest „czysty pod względem rasowym". Druga ustawa wprowadza zakaz małżeństw między białymi i ludźmi „innej rasy" (Murzynami, Indusami, Żydami itd.). Duchowny, który udzieli ślubu Murzynowi i białej kobiecie, naraża się na karę przymusowych robót do lat dziesięciu.

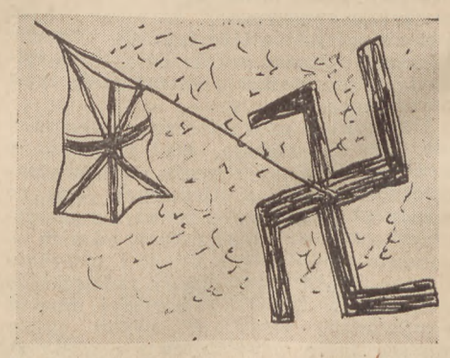

Południowa Afryka posiada, jak stwierdza nawet labourzystowskie czasopismo „Tribune" najbardziej rasistowskie ustawodawstwo na świecie i nie ma ona powodu wstydzić się choćby rasistowskich ustaw hitlerowskich Niemiec. W Południowej Afryce istnieje także prawo wprowadzające getto dla „nieeuropeńskich ras", którym wyznacza się oddzielne dzielnice albo prowincje. Demokracja jest dla brytyjczyków towarem na eksport, u siebie w domu rządzą się oni całkiem inaczej, w myśl specyficznych zasad wolności... angielskiego kapitału.

kst

JÓZEF PRUTKOWSKI

DO BRACI SATYRYKÓW

Czemu się martwisz, bracie kpiarzu,
Że coraz trudniej znaleźć temat,
Że ci z wszystkiego robią zarzut,
Że rząd jest nasz, więc wrogów nie ma.
A bogacz wiejski gna biedaków z chałup.
Jeszcze ci mało?

Chodzisz markotny, że koniec, że zanik,
Że się satyra całkiem załamała,
Bo już nie wolno pornografomanii,
Że z nią już kończy się historia ciała.
Szarp reakcyjno-profesorskie ciało!
Jeszcze ci mało?

Chodzisz posępnie i smutno pytasz,
Kogo uderzać? Opozycja prysła!
Lecz patrz, na ciebie już czeka dygnitarz
Snob, wazeliniarz, wróg-kapitalista,
Plotkarz, panikarz, wciąż na nas walą.
Jeszcze ci mało?

Więc czemu chodzisz smutno i warczysz?
Patrz: Karierowicz, gbur, oportunista,
Nie bój się! Wrogów na długo wystarczy:
Świętoszek, kanciarz, spekulant, faszysta
Ruszają na nas kompaniją całą.
Jeszcze ci mało?

(z wydanego przez Prasę Wojskową tomu satyr pt. „Ostrym piórem")

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji, Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 100—: kwartalnie zł 300—: półrocznie zł 600—: rocznie zł 1200—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.
Cena ogłoszeń: zł. 180 za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń Czytelnik, Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 B-112081